Nr. 16. Kraków, dnia 17 kwietnia 1910. ROK I.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Wybory w Poznaniu.

(Korespondencya własna Tygodnika Narodowego).

W ubiegły piątek odbyły się w okręgu poznańskim wybory do parlamentu niemieckiego, spowodowane złożeniem mandatu przez posła Bernarda Chrzanowskiego. Przy wyborach tych przyszło do secesyi, wskutek której padł kandydat „legalny“ Komitetu Wyborczego Prowincyonalnego Wojciech Sosiński, i wskutek której też przyjdzie do wyborów ściślejszych między kandydatem secesyonistów Stanisławem Nowickim a niemcem nadburmistrzem m. Poznania Wilmsem Rezultat wyborów tych w cyfrach przedstawia się następująco: Stanisław Nowicki otrzymał głosów 11487, Sosiński — 6964, Wilms — 12579 i socyalista Matuszewski 2241. Zwyciężył więc kandydat „nielegalny“, którego coprawda nie życzyły sobie władze wyborcze, ale którego żądał lud.

Lud zatem nie usłuchał swej władzy naczelnej, urządził secesyę. Secesya, zasadniczo biorąc, w naszych warunkach, to broń ostateczna, broń straszna, którą igrać w żadnym razie nie wolno. Poznawszy wszakże dzieje ostatniej kandydatury, przyznać każdy musi, że ową secesyę spowodował nie kto inny, jak same władze wyborcze, a mianowicie przedewszystkiem komitety wyborcze powiatów wiejskich.

Gdy po złożeniu mandatu przez posła Chrzanowskiego, poczęto się zastanawiać nad nowym kandydatem do parlamentu, wyłoniła się z kół zorganizowanych robotników propozycya, aby mandat oddano ich przedstawicielowi, tj. robotnikowi. A równocześnie wskazano na sekretarza filii Zjednoczenia robotników polskich, Stanisława Nowickiego, człowieka, który pracą swoją społeczną od lat przeszło dwudziestu jak najlepiej zapisał się na kartach historyi Poznańskiego. Z propozycyą tą robotnicy zwrócili się do Polskiego Towarzystwa demokratycznego, które w rezultacie kandydaturę rzemieśniczo-robotniczą postanowiło popierać. Atoli przeciwstawili się jej ugodowcy, którzy na łamach Dziennika Poznańskiego, poczęli używać wszelkich kruczków, aby kandydaturę robotniczą, popieraną przez stronnictwo Demokratyczno-Narodowe — utrącić.

Gdy wreszcie wszelkie arkana przeciw wystrzelono bezskutecznie, gdy już na 7 wiecach obwodowych miasta Poznania wyborcy prawie jednomyślnie postawili na liście kandydackiej na pierwszym miejscu p. Nowickiego, wówczas w ostatniej chwili ugodowcy skomunikowali się telegraficznie z p. Wojciechem Sosińskim, prezesem Zjednoczenia robotników w Bochum, i nie znając go ani osobiście ani pod względem kwalifikacyi poselskich, wysunęli kandydaturę jego *na złość* Narodowej Demokracyi i szerokich warstw ludu. Lecz mimo wszystko nawet w powiatach wiejskich ugodowcy okazali się słabymi wobec woli ludu; bowiem na wiecach przedwyborczych w 3 obwodach lud postawił na liście kandydackiej p. Nowickiego, a tylko w jednym dosłownie obwodzie postawiono p. Sosińskiego. Mimo tak wyraźnej ze strony wyborców wskazówki, komitety powiatowe wiejskie, depcąc obowiązujące regulaminy wyborcze oraz gwałcąc wolę wyborców, wypowiedziały się za p. Sosińskim. I... Komitet Prowincyonalny, jako władza naczelna, w większości swej, nie uznał za wskazane postąpić w myśl żądania tysięcy wyborców, i... narzucił jako oficyalnego kandydata p. Sosińskiego.

Rzecz jasna, że takie narzucenie woli garstki wywołało przedewszystkiem rozgoryczenie w najszerszych masach. Robotnicy uświadomieni przejrzeli, że chodzi tu o ubicie ruchu ludowego: znają Nowickiego ze strony najlepszej, Sosińskiego z Bochum zaś albo wcale nie znają, albo też tylko ze strony ujemnej. Na domiar, gdy Sosiński na kilka dni przed wyborami przybył do Poznania i zjawił się na wiecu, w którym uczestniczyło do 2 tysięcy wyborców, gdy na stawiony mu szereg

ciężkich zarzutów co do przeszłości „oficyalnego“ kandydata, Sosiński dawał odpowiedzi wymijające, gdy począł posiłkować się nieprawdomównością, co mu natychmiast na wiecu udowodniono, gdy wreszcie z uczynionych mu zarzutów się nie oczyścił, zawrzało wśród wiecowników, którzy też gwałtownie, nie przebierając w słowach domagali się, aby zrzekł się kandydatury, aby nie wprowadzał rozłamu w społeczeństwo nasze. P. Sosiński jednak stał przy swoim.

Wobec tego wszystkiego, robotnicy czerpiąc przykład z góry, widząc jak tam u góry łamie się regulaminy, aby tylko postawić na swojem, — robotnicy sami proklamowali secesyę, która w rezultacie zwyciężyła. Odpowiedzialność więc za to wyłamanie się z pod władzy naczelnej wyborczej, za secesyą tę — spada przedewszystkiem na owe władze, które podejmując uchwały wbrew regulaminom i żądaniom olbrzymiej większości wyborców — same proklamowały secesyą.

Zarzucano, że secesyą wywołała rzekomo sztuczna i demagogiczna agitacya Stronnictwa Demokratycznego. Zaprzeczyć temu trzeba *pod każdym względem;* bowiem tak prasa demokratyczna z *Kuryerem Poznańskim* na czele, jak Tow. Demokratyczne, jak i wreszcie sam p. Nowicki powstrzymywali lud od secesyi. Lud jednak świadomy tego, że stała mu się krzywda, stoczył walkę i zwyciężył.

Ostatnie wybory wreszcie dały świadectwo, że ten lud miejski i wiejski w Poznańskiem politycznie już dojrzał. Owa walka wyborcza między dwoma kandydatami robotnikami pozbawiona była wszelkich pobudek klasowych. W walce tej chodziło *o zasady polityczne.*

Jest to fakt, który mieć będzie swoje doniosłe znaczenie na dziesiątki lat, i to dla całej naszej dzielnicy. Z tym faktem zmuszone będą odtąd liczyć się żywioły konserwatywne.

Lechita.

Co słychać we Lwowie.

(Korespondencya).

Zbliżamy się szybkim krokiem do wiosny, która kalendarzowo już dawno wprawdzie zawitała, w rzeczywistości jednakże zwleka swoje przybycie i dziwnie jest jakaś niezdecydowana. Czekamy jej z upragnieniem i tęsknotą rzetelną, czekamy jej dni promiennych i świeżością tchnących... czekamy z niecierpliwością i niepokojem.

Lecz wiosna tegoroczna nieczuła widocznie na nasze wzdychania. Po dniu ciepłym, letnim niemal, nadchodzi przymrozek i dzień dżdżysty lub nasza kochana galicyjska pluta. Odgrzane cośkolwiek nadzieje przymrażają przedwcześnie, przedwczesne porywy i wzloty opadają smutnie ku dołowi i zatracają swoją gibkość i zdolność do lotu. Ale nie długo już potrwa zmaganie się zimy z zwiastunką lata. Czuje się to już w powietrzu, ten powiew młodociany, ten prąd ożywczy, który niebawem już wszystkich nas ujmie w objęcia swe i do nowych zagrzeje czynów.

W ogromnym podnieceniu pracuje miasto na przyjęcie wiosny. Ogromne wozy zaprzężone w czwórki koni, potężne automobile ciężarowe i t. p. wehikuły starego i nowego typu, wywożą na gwałt za miasto resztki pozostałości zimowego błotka i śniegu, w ogrodach miejskich na plantacyach czynna wre praca przygotowawcza, aby miastu dać wygląd piękny i okazały, skoro pierwsza zieleń ponad ziemią zawita.

Do nowego też sezonu przysposabia się ruchliwe nader Towarzystwo zabaw ruchowych, wszystkie sokole drużyny sportowe, towarzystwa sportów wszelakich, których jest u nas w istocie poddostatkiem.

Niebawem także rozpoczną się prace około zaprowadzenia tramwajowej linii na Wysoki Zamek, który obecnie wskutek zbyt uciążliwej drogi częstokroć niezasłużoną stoi pustką. Właśnie przed przed paru dniami ministerstwo kolei żelaznych zatwierdziło projekty i plany tej odnogi, która wieźć będzie z Hetmańskiej przez Rynek, Ruską, Czarniecką Kurkową, Unii Lubelskiej i Teatyńską ulicę. Punkt końcowy znajdować się będzie u wrót głównej alei Wysokiego Zamku a cała ta linia wynosić będz e blizko półtora kilometra.

Z wiosną też na nowo zaczęto myśleć o wspólnej akcyi lokatorów przeciw horendalnej drożyźnie mieszkań. Dzisiaj donieść na razie mogę, że towarzystwo lokatorów już się zawiązało i już rozpoczyna akcyę planową. Oby tylko jak najlepiej się powiodło, bo w istocie kamienicznicy nasi to straszni ludzie, bezwzględni i nigdy niezaspokojona hydra.

W teatrze sezon operowy, dosyć blady w tym roku, dobiega końca. Przed paru dniami zakończyła gościnę Sigfrida Arnoldson, która jak za dawniejszych swych czasów wzbudziła szczery entuzyazm dla wysokiej umiejętności śpiewu i szlachetnego artyzmu. Mniej podziwu wzbudził głos sam artystki — dawniej istotnie słowiczy — który dzisiaj tu i owdzie wykazuje szczerby i braki. Jeśli się zważy jednak, że Arnoldson wkrótce przekroczy piąty krzyżyk, musi się być dla niej i dla jej sztuki z rzetelnym podziwem. ***

Mieszczki krakowskie u królowej Anny.

Dobrze już była w lata posunięta królewna Anna Jagiellonka, kiedy oddawała swą rękę Stefanowi Batoremu. Wszystkie jej siostry powychodziły za mąż, ona tylko jedna została w panieńskim stanie. Po prawdzie, nie miała im czego zazdrościć, bo żadna z nich nie była szczęśliwa w małżeństwie. Zofia, wydana za księcia Henryka Brunświckiego, z goryczą patrzyła na jawne miłostki męża z ulubienicą jego Ewą von Trotte; Izabela, poślubiona Janowi Zapolli, musiała uchodzić z Węgier i szukać przytułku w Polsce, — a najbardziej przez Annę ukochana Katarzyna, królowa szwedzka, przeszła wraz z mężem tak straszne koleje losu, że jej życie było prawdziwą tragedyą.

Nie spieszyła się więc królewna Anna z zamążpójściem, ale i z nią się też nie spieszono. Wogóle nasze Jagiellonki, dość późno wychodziły za mąż. Nie chcę przez to powiedzieć, żeby nie miały starających się o ich rękę, — ale tak jakoś się składało, że królewny na dobre zaczynały już siać rutkę, nim zdarzył się oblubieniec.

Pozostawszy w panieńskim stanie, mieszkała królewna Anna, od śmierci ojca i wyjazdu matki, przy swoim bracie, królu Zygmuncie Auguście, cierpliwie oczekując losu, jaki Bóg jej zdarzy. Oddana modlitwie i miłosiernym uczynkom, ubóstwiana przez wszystkich, uważana za świętość narodową, zamknęła się jak w relikwiarzu w prastarych murach zamku wawelskiego, i tu, żyjąc w ciszy i oddaleniu od zgiełku świata, doczekała się lat pięćdziesięciu życia, i smutnej wieści o śmierci jedynego brata, który umarł w Knyszynie 1572 roku.

A jednak dopiero ta podwójna żałoba: po ukochanym bracie i po straconej niepowrotnie młodości, otworzyła jej widoki na przyszłość.

Sieroctwo jej, wzruszyło wszystkich. Przez nie stała się ona oblubienicą całej Polski. O niej naród teraz tylko myślał, jej losem tylko się troskał, a rozporządzając największem dobrem, jakiem lud wolny mógł swych wybrańców obdarzyć, dla niej przeznaczył tron polski.

Od tej chwili Anna Jagiellonka uważana była przez wszystkich za infantkę polską.

Ktokolwiek ubiegał się o wakującą po zmarłym królu koronę, temu za warunek stawiano poślubienie królewny Anny. Pod tym tylko warunkiem wybrany został Henryk Walezy i pod tą kondycyą, po ucieczce Walezego z Polski, wstąpił na stopnie tronu Stefan Batory.

W kilka miesięcy po odbytej elekcyi, zjechał nowo obrany król do Krakowa i tu, dnia 1-go maja 1576 roku, odbyła się w katedrze na Wawelu koronacya obojga królestwa, a nazajutrz ślub królowej Anny, z przeznaczonym jej od Boga małżonkiem.

Było dawniej u nas zwyczajem, że po ślubie królewskim, szły z pokłonem do nowożeńców wszystkie stany narodu, składając im życzenia i podarki, które zwały się po staremu „pocztą“, a których tradycya dotąd się utrzymuje. Tak było i tym razem.

Skoro tylko heroldowie przy dźwięku trąb, ogłosili mieszkańcom starej, piastowskiej stolicy o zawartem małżeństwie między Batorym a Anną, — wnet na pokoje królewskie zaczęła sunąć długa procesya panów i duchowieństwa, szlachty i rycerzy, znaczniejszych mieszczan i uczonych profesorów starej Akademii Jagiellońskiej.

Szli więc naprzód panowie senatorowie w puszystych deliach, spiętych na brylantowe guzy, w kapiących od złota żupanach, w czapkach, na których chwiały się drogie czaple pióra, lub osypane dyamentową kaszką kity, obok sędziwych biskupów w mitrach sadzonych perłami, a za nimi kwiat rycerzy w bogatych zbrojach i jaśniejszych od słońca szyszakach, co wszystko razem zlewało się w jedyny w swoim rodzaju obraz, pełen przepychu i malowniczości. Poza tym orszakiem, stanowiącym czoło narodu, postępowała Akademia krakowska w powłóczystych togach, obramowanych gronostajami, poprzedzana berłami, nadanemi jej przez królów polskich, a w końcu panowie radni i patrycyusze miejscy, którzy acz nie herbowni, nie ustępowali w niczem szlachcie, bo mieli duże przywileje i świetną tradycyę Wierzynka za sobą.

Wszyscy oni składali Królestwu ozdobne życzenia, i w cycerońskich zwrotach wypowiadali im swoje uczucia.

Ale była to dopiero urzędowa część tego uroczystego aktu. Po niej następowała druga, która jeśli nie zewnętrznym blaskiem, to serdecznością miała przyćmić tamtą i na długo zapisać się w pamięci współczesnych.

Po mężczyznach, szły niewiasty z pokłonem do królowej. Rozwinął się barwny wieniec urodziwych pań krakowskich, żon rajców patrycyuszów miejskich, strojnych w jedwabie i atłasy, w drogocenne futra i złote łańcuchy, w wysokie kornety, z pod których zwieszały się ciężkie za uszpice, — i uboższych mieszczek, w barankowych

jupkach i białych rańtuchach na głowie, a wszystkie one zbliżały się do królowej z jakąś serdeczną poufałością i rozrzewnieniem w twarzy, przypadając do jej stóp i obejmując kolana.

Bo Anna Jagiellonka, to bliska ich sercu postać, to pełna miłosierdzia pani dla wdów i sierót; to ich opatrzność i jedyna nieraz w nieszczęściu ucieczka, — więc szły do niej nie jak poddanki do królowej, ale jak dzieci do matki, pewne z jej strony łaskawego słowa i życzliwego przyjęcia.

A gdy już dobra Jagiellonka przywitała się z niemi, zaczęły one na wyścigi rozkładać przed nią swe dary. — Bogate panie ofiarowały królowej pozłociste nalewki, srebrne miednice, kubki z kryształu i wreszcie cenne ozdoby do stroju niewieściego ze złota i drogich kamieni, — a proste mieszczki niosły królowej na jej nowe gospodarstwo, to kurcząt parę, to kapłona, to osełkę masła lub gomółkę sera, inne zaś bardziej zasobne, dźwigały nieckę krepli lub świeże kołacze, a te znów, których mężowie przy Wiśle mieszkają, ofiarowały swej pani złowione w rzece szczupaki lub okonie. I tak każda z nich ochotnem sercem składała na co ją stać było, a rozczulona Jagiellonka z jednakiem uczuciem przyjmowała dary bogatych i ubogich, mile paniom krakowskim dziękując za ich pamięć i przywiązanie.

Dalsze koleje życia tej ostatniej Jagiellonki na tronie polskim należą już do historyi. To tylko dodamy, że królowa przeżyła z mężem pełny lat dziesiątek, a gdy po upływie nowych lat dziesięciu i ją z kolei kładziono do grobu, to płacz był powszechny w Polsce, bo z nią, jak mówił złotousty nasz Skarga: „odeszło uweselenie poddanych i ludu jej ozdoba“.

Władysław Bełza.

Wiosna.

U stropu niebios w promieniach słonka,
Dzwoni wiosenna piosnka skowronka,
Po polach orzą pługi skrzypiące,
Bocian poważny chodzi po łące.

Drzewa zakwitły koło zagrody,
Jako te dróżki, w weselne gody
Kukułka kuka, dzięcioł na sośnie,
Z wszystkich się ptaszków śmieje rozgłośnie,

Dziewczęta piorą płótno nad rzeką,
Łoskot kijanek tętni daleko,
Matki wynoszą do słonka dziatki
Pierwszej im wiosny zrywają kwiatki...

Na przyżbie chaty, dziadek sędziwy
Grzeje się w słonku, patrzy szczęśliwy
Na grono wnuków, które swawoli,
Zapomniał w szczęściu starość co boli...

Hen gdzieś za górą, jakby za niebem,
W świat dzieci nasze jadą „za chlebem“
Słychać kolei wycie żałosne,
Co nam zabiera dzieci na wiosnę...

Hej dzieci polskie, biedni tułacze
Ojczysta ziemia za wami płacze,
Ojczyste łany, rodzinne chatki —
Nie żal wam rzucać ojczyzny Matki?

Jantek z Bugaja.

Z dziejów przemysłu.

W roku 1740 pojawił się w Anglii wynalazek, który rozstrzygająco wpłynął na stosunki ekonomiczne i dał podstawy nowoczesnemu życiu ekonomicznemu. Wynalazkiem tym jest topienie żelaza za pomocą węgla kamiennego. Wiadomo bowiem, że do tego używano dawniej węgla drzewnego, co było połączone z długą i mozolną pracą. Powoli jednakowoż zapasy drzewa się wyczerpały wskutek czego ceny na drzewo nadzwyczaj podskoczyły, a tem samem i żelazo stopniowo podrożało. Przez użycie węgla kamiennego to topienie kruszczów, przemysł podniósł się bardzo i otrzymał najpierw tani produkt surowy, a równocześnie umożliwiono dalsze przeróbki żelaza w większych masach.

Także metoda dalszego przerabiania żelaza wyszła z Anglii. Tam też pojawił się najpierw system regulujący cały proces w tak zwanych pudlingarniach, w których węgla kamiennego użyto dopiero przy przerabianiu surowego kruszcu, tam też pojawiła się walcownia, która dalszym przeróbkom żelaza wskazała nowe drogi, tam również zbudowano pierwszą maszynę do przędzenia t. zw. „Mule Jenny“, która dla przemysłu tkackiego stworzyła całkiem nowe możliwości.



Roztopy wiosenne.

Wszystkie te wynalazki i odkrycia w dziedzinie techniki doszły do zupełnego znaczenia, gdy miejsce siły ludzkiej, wiatru i wody, które to dotychczas pędziły maszynerye życia przemysłowego, zajęła maszyna parowa, która z pomocą nowoczesnej techniki różnych gałęzi przemysłowych całe gospodarstwo społeczne przekształciła. Tanio wyrabiane żelazo, nowoczesne techni-

czne metody i maszyny do przerabiania, a nareszcie maszyna parowa, trzy w przemyśle żelaznym czynniki, wspierały się nawzajem. Siła maszyny parowej dopiero wtenczas była możliwą, potrzebną, jeżeli żelaza było pod dostatkiem, a którego w sposób tani dostarczać było można: żelazo dostarczyło maszynom do dalszego przerabiania wytrzymałości i użyteczności dla dalszych konstrukcyi maszynowych, a wszystkiego tego dopełniała nareszcie maszyna parowa.

Żelazo i siła parowa dała też środek, który przez wynalazek kolei żelaznej przekształcił wszelki ruch komunikacyjny. Jeszcze pod koniec 18 a nawet w połowie 19 stulecia poszczególne miejscowości i okolice były odcięte od siebie. Każde większe lub mniejsze miasto z okolicą wystarczyły same sobie: miasto bowiem dostarczyło różnych produktów rękodzielniczych i przemysłowych, a okoliczne wioski swych wyrobów wiejskich, spożywczych, a tylko wyroby większej wartości, których transport był łatwy, można było z dalszych stron sprowadzać. Pod tym względem kolej żelazna — którą poprzedziły wpierw: węgiel kamienny, żelazo surowe i maszyna parowa, przeobraziła całe gospodarstwo społeczne.

Wynalazki i odkrycia w dziedzinie przemysłowej pobudziły wiedzę ludzką do głębszego, gruntowniejszego badania, zapuszczania się w prawa przyrody; przedewszystkiem nauki przyrodnicze miały za cel, ażeby poznawać i wyjaśniać siły techniczne i mechaniczne, i w ten sposób ulepszać i udoskonalać technicznie nowoczesny przemysł.

Gusła i guślarze.

„Przyszłość“! — „wróżba przyszłych losów!“ Pomimowoli, mimo niedowiarstwa i zimnego rozsądku, na dźwięk tych wyrazów, każde serce żywiej nieco zakołatać musi, bądź troską i niepokojem, bądź żądzą i nadzieją szczęścia; albo też li tylko zwykłą ciekawością; która to wada naprzekór złym językom, nietylko kobietom, ale wszystkim świata mieszkańcom jest wrodzoną. Któż bo z nas nie pragnąłby choć raz w życiu uchylić rąbkę tej zasłony, co nam kryje tajemnicę jutra. To pragnienie, ta ciekawość ogólna, jest właśnie przyczyną, iż wiara w zabobony, wróżby, przeczucia i gusła tak długo przechowuje się u ludów, pomimo cywilizacyi i wzniosłych religijnych pojęć.

Ludy środkowej Europy skłonniejsze do chłodnej rozwagi, w życiu swem czynnem, w ciągłej walce o byt codzienny, otrząsnęły się łatwiej z dawnych przesądów, zarzuciły zwyczaje i gusła wpół pogańskie. A jednak jeśli zajdziemy do chat wieśniaczych, to znajdziemy jeszcze, tu i owdzie, liczne echa zabobonów i tej naiwnej wiary, która nas łączyła ze światem nadprzyrodzonym i pozwalała nam zajrzeć w przyszłość nieznaną.

W górach Styryi np. każde najzwyklejsze zdarzenie daje często sposobność do wróżb i przepowiedni przyszłości: nić przerwana w krosnach lub kądzieli przepowiada śmierć ukochanej osoby albo niepowodzenie w zamysłach, iskry sypiące się z komina, gdy wicher ogień ku izbie zawróci wróżą bogactwo tej osobie, na którą padną itp.

A ileż to u nas w Polsce podobnych wróżb i baśni, do których lud nasz silną przywiązuje wiarę, a których początku chyba w podaniach i przesądach na wschodzie po dziś dzień zachowanych, szukać musimy.

Najbujniej wszakże wróżbiarswo kwitnie na *wschodzie*. Wschód bowiem był od wieków i jest dziś jeszcze ojczyzna wróżbiarzy i czarów, tajemniczych guseł i zabobonów. Baśnie, legendy i wróżby, uzupełniają tu życie mieszkańców, stają się niejako niezbędnym pokarmem dla ognistej wyobraźni, której umysłowa nie zużyła praca. W spuściźnie po starożytnych Egipcyanach, słynnych w sztuce wróżbiarstwa, odziedziczyli tę umiejętność Arabowie. Lud ten z dziecięcą naiwnością lubuje się w baśniach, marzy o cudach i czarach. Sam widok natury usposabia go do tego; pod skwarnem słońcem wschodniego nieba krew żywiej nabiega do skroni, w bezgranicznej przestrzeni pustyń myśl buja swobodnie i błąka się jak motyl, promieniami światła upojony. Dla Araba, cały świat widomy dokoła, tak przestrzeń przeczysta błękitu, jak i groźne skały pustyni, fale Nilu, starożytne gruzy i nawet zakątki własnego domostwa, zaludnione są złemi i dobremi duchami: *dżinnami*. Dżinny są to istoty pośrednie między aniołami i ludźmi. Nie mają oni krwi i ciała, są więc dla nas niewidzialne, dzielą jednak nasze mieszkania i zajęcia, mają swych władców, swe królestwo nadpowietrzne i mogą wpływać źle lub dobrze na losy nasze. Dlatego też Arabowie obawiają się obrazić czemkolwiek „dżinny“, lub wzbudzić ich niechęć. Zemsta ich może być straszną. To też często słyszeć można, jak Arabowie przy pracy jakiej lub zajęciu ręcznem powtarzają z cicha: *Destur ya mu barakin* (ustąpcie o błogosławieni!)



PRZYJACIELE.

Arabowie są przekonani, że istnieją ludzie, którzy przez długie posty, przez powtarzanie niektórych ustępów koranu, a szczególniej przez znajomość pewnych słów kabalistycznych, uzyskują władzę nad „dżinnami“. Wtedy duchy te posłuszne, wyjawiają im przyszłość, uczą różnych czarów, dopomagają w znajdywaniu skarbów, wykryciu złodziei itp. Setki książek dawnych, znajdujemy w Egipcie, podających przepisy co do czarów i władzy nad „dżinnami“. Oprócz modlitw, postów i wyrazów kabalistycznych podają te książki recepty na silne aromatyczne kadzidło, które przy każdem wywoływaniu duchów i przy innych czarach lub wróżbach użyte być musi. Kadzidło to, w którego skład wchodzą: aloes, benzoina, żywica i rozmaite aromatyczne zioła, działa odurzająco na nerwy, nie dziw więc, że osłabieni postami i bezsennością wróżbiarze, albo też osobniki drażliwych nerwów, widzą istotnie widma i zaczynają fantazyować pod wpływem ostrego narkotycznego dymu.

Jednakże nie musi to być trudno osiągnąć związek z „dżinnami“, skoro widzimy w Egipcie niezliczoną ilość wróżbiarzy. Dniem i nocą spotkać ich można w ulicach Kairu. Szepcząc swe formułki i zaklęcia, w niezrozumiałym dla nas, dziś nieużywanym języku, ofiarują oni przechodniom swe usługi. Jedni czytają z gwiazd przyszłe losy i zdarzenia, drudzy, szczególnie kobiety wróżą z ręki i z pomocą drobnych muszelek; inni jeszcze ofiarują czarodziejskie leki przeciw urokom, środki niezawodne budzące miłość lub też idą o zakład, iż odgadną nasze myśli i w czarodziejskiem zwierciadle pokażą nam ukochaną lub od-

dalonę osobę. Zwierciadło takie jest istotnie najbardziej zajmującem ze wszystkich czarodziejskich sztuczek. Kuglarz, czyli wróżbita, zakreśla najpierw swą laseczką czworobok lub koło i w pośrodku tegoż stawia małego chłopca, dziecię niewinne lat najwyżej dwunastu, dając mu w rękę kubek napełniony kawą lub wodą, w którą każe mu nieustannie patrzeć. Po tych pierwszych przygotowaniach, rozpala kadzidło, w ten sposób, iż dym cały owiewa chłopca, którego oczy wkrótce gorączkowego nabierają blasku, ręka drżeć zaczyna pod wpływem narkotyku. Wtedy kuglarz chwyta chłopca za rękę i nie spuszczając go na chwilę z oczu, każe mu opowiadać co widzi w wodzie lub na dnie kubka, jaka postać mu się okazuje etc. Odpowiedzi dziecka są zazwyczaj jasne i jakby w gorączce powtarzane, ale wróżbita tłómaczy je i wykłada w swój sposób.

Byłoby istotnie ciekawem zbadać, jakich stuleci zabytkiem jest owa czarnoksięzka wiedza i literatura, i czy Arabowie przenieśli ją z Azyi nad brzegi Nilu, czy też odziedziczyli po starożytnych mieszkańcach Egiptu?

Jednakże tak jak trudno zbadać jakiego morza ziarnem jest perła, która z rąk do rąk w spuściźnie przechodzi, tak też trudno dociec początku owych tradycyi i baśni ludowych, co przekazywane z pokolenia na pokolenie, ocalały w powodzi wieków, lub przeniesione zostały z dalekich brzegów. Dusza ludu przechowuje te wspomnienia minionych wieków, pomimo walk i przejść rozmaitych, tak jak łono ziemi pomimo burz i przewrotów, które jego powierzchnię przekształcają, zachowuje w głębi ślady dawnej wegetacyi i zgasłego przed wiekami życia.

Wybuch Etny.

Obecny wybuch należy do najsilniejszych, jakie się zdarzyły od r. 1892. W owym czasie wybuchy powtarzały się od połowy lipca do sierpnia, obecnie rozpoczęły się dnia 24 marca i trwają dotąd. Na razie ucierpiały tylko winnice i pola uprawne, ludziom zaś nie grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo, chociaż wsie Nicolosi i Borello zostały przez swoich mieszkańców opuszczone. Wedle dotychczasowych wiadomości, nie można stwierdzić, który z kraterów zaczął najpierw wybuchać. Sądząc z pierwszego telegramu, pierwszy zaczął wyrzucać lawę krater, noszący nazwę Etny, później zaczęły działać położone niżej, mniejsze kratery: Monte Castellenzzo, Monte Capriolo, Monte Rinazzi i Monte San Leo. Ta okoliczność wyjaśniłaby, dlaczego lawa tak szybko dostała się do osad Nicolosi i Borello.

Lawa tym razem płynęła drogą, którą turyści z reguły dostają się na Etnę, mianowicie przez Nicolosi, dokąd prowadzi ścieżka z Catanii. Jak wiadomo, Etna jest najwyższym wulkanem Europy. Dawniej miał 3343 metrów wysokości, jednakże po wybuchu z r. 1868 obniżył się do 3279 metrów.

Wznosi się terasami na podstawie, której obwód ma około 130 kilometrów. Na stokach Etny znajduje się 65 miejscowości, liczących okrągłe 300.000 mieszkańców. Etna pokrytą jest małymi kraterami, których liczba wynosi 200. Niektóre z nich wygasły, inne od czasu do czasu wybuchają.

Na południowym stosu, w wysokości około 3000 metrów leży Casa Inglese, schronisko, zbudowane w r. 1811 przez Anglików. Obok znajduje się obserwatoryum, które posiada także pomieszczenie dla turystów. Na wschód od głównego stożka pomiędzy dwoma grzbietami gór, Serra del Solfizio i Serra dela Conzazze, znajduje się głęboka dolina Val del Bue, uważana przez uczonych za dawny główny krater.

Stoki Etny są bardzo urodzajne. Aż do wysokości 500 metrów rosną drzewa oliwne, daktyle, figi, pomarańcze i granaty. Do wysokości 1300 metrów sięgają winnice i kasztany, potem idą lasy bukowe, a następnie krzaki aż do wysokości 2500 metrów. Najwyższa część góry jest nieurodzajną, a liczne rozpadliny są nawet w lecie wypełnione śniegiem i lodem. Każde stulecie miało swoje wielkie wybuchy. Największy wybuch przypadł na 1669. Wtedy lawa dostała się aż do Catanii i zniszczyła część miasta. Wkrótce po tej katastrofie Catania została prawie doszczętnie zniszczona przez trzęsienie ziemi. Pozostało wówczas tylko 5 domów nienaruszonych. Obecnie jest Castania kwitnącem miastem, liczy przeszło sto tysięcy mieszkańców i ma przydomek „la bella". Od r. 1895 wiedzie kolej naokoło Etny.

Bardzo zajmujący opis obecnych wybuchów podaje Luigi Barzini w dzienniku „Corriere della Sera". Przybywając w nocy, spostrzegamy, pisze Barzini, wybuch już w odległości 40 kilometrów od Catanii, jak tylko pociąg, idący wzdłuż wybrzeża morskiego, dostanie się na wschodnie stoki Etny. Góra jest niewidzialna. Otacza ją czarna zasłona, stanowiąca dziwny kontrast z jasną nocą księżycową. Olbrzymie chmury oparów i dymów wznoszą się naokoło Etny, sięgając aż do gwiazd. Wulkan ukrywa swój gniew w apokaliptycznych



Do widzenia.

ciemnościach, które rzucają cień na całą okolicę. Nagle widziwy w tych ciemnościach czerwony blask, z pośród którego wyłania się sylwetka urwiska. Pociąg bieży wzdłuż południowego zbocza, najbardziej zagrożonego przez wybuchy. Ów blask rośnie i widać w nim strumień lawy na przestrzeni około 10 kilometrów. Chmury dymu zasłaniają czasem cały widnokrąg i dopiero gdy wiatr powieje od zachodu, widać fale rozżarzonej lawy.

Mieszkańcy Catanii przyzwyczaili się do wybuchów wulkanicznych i zachowują się obecnie zupełnie spokojnie. Ludność gromadzi się na na placu ćwiczeń wojskowych i spogląda na łunę

krateru. Ciekawsi urządzają wycieczki na górę, dokąd wiodą liczne ścieżki. Wioski na zboczach wulkanu przepędziły spokojnie święta wielkanocne. Idąc pod górę, turysta traci od czasu do czasu widok na ognisko wybuchu i znajduje się pośród spokojnego krajobrazu, tonącego w blaskach księżyca. Nagle odzywa się straszny ryk, któremu wtóruje tysiączne echo. Ziemia drży w posadach i wtedy grupy turystów zatrzymują się, jak stada przerażonego ptactwa.

Wybuchy widziane ze skrętów drogi, przedstawiają wspaniały widok. Płonące kratery, położone tuż obok siebie, zlewają się w morze ognia. Strumienie lawy, płynące z wysokości 2400 metrów wyglądają z daleka jakby płynąca mgła i dopiero w dalszym biegu widać fale rozżarzonego płynu. Wioska Nicolosi, najwyżej położona, była do niedawna przepełnioną turystami. Co chwila nadchodziły nowe wiadomości. Strumień lawy płynie do Borello, mówiła jedna wiadomość, a wedle drugiej płonące fale dążyły do San Leo i przecięły tamtejszy gościniec. Mimo grożącego niebezpieczeństwa mieszkańcy Catanii zachowują się jak wspomnieliśmy, spokojnie. W wielką sobotę strumień lawy dodarł do lasku drzew kasztanowych. Jeden pień po drugim pada i płonie białym ogniem. Gałęzie wyginają się w rozpaczliwej obronie przeciwko straszliwemu gorącu. Według drzew obliczają wieśniacy bieg lawy i twierdzą, że dotąd nie grozi stokom dalszym niebezpieczeństwo.

Zresztą wybuchają kratery coraz wyżej położone. W roku 1883 lawa płynęła z kraterów, położonych na wysokości około 1000 metrów; w trzy lata później wybuchnęły kratery, położone na wysokości 1540 metrów; obecnie zaś działają kratery na wysokości 2400 metrów, pośród wiecznego śniegu na Piano del Lago.

Co najwięcej tępi lasy?

Papier pochłania lasy! Bo papier obecnie produkuje się z drzewa, nie zaś ze szmat, jak to czyniono dawniej. Corocznie fabrykacya papieru pochłania więcej drzewa, niżli go może narosnąć w lasach w tym samym czasie. Pomijając więc inny użytek z drzewa, sama produkcya papieru ogołocić musi kulę ziemską z lasów.

Tymczasem nie wynaleziono jeszcze sposobu na szybszy wzrost drzew, a spożycie stale wzrasta.

Wywóz papy drzewnej na użytek samych tylko papierni wynosił w r. 1875 w Norwegii 8 tysięcy 500 toń, w r 1898 wzrósł do 315 tys. ton, czyli stał się więcej, niż 37 razy większy. Od tego zaś czasu wzrósł jeszcze gwałtowniej.

Zważmy teraz że każda książka do czytania waży przeciętnie pół kilkograma (trochę więcej niż funt), każda taka książka wychodzi mniej-więcej w 10 tysiącach egzemplarzy. A zatem każde wydanie takie ważyć będzie przynajmniej 5 tysięcy kg. papieru; wystarczy wziąć pod uwagę 20 takich wydawnictw, a otrzymamy 100 tysięcy kg. papieru.

Jedna sosna daje w przecięciu 225 kg papieru, czyli że zjawienie się w oknach księgarskich nowych 20 wydawnictw powieściowych powoduje wycięcie przynajmniej 444 drzew w pełni rozwoju.

Tak więc ze stanowiska interesów lasu literatura jest bardzo drogą zabawką. Jeden literat ośmielił się nawet twierdzić, że każdy kupujący książkę winien przedtem posadzić drzewo.

Ale książka w porównaniu z gazetą jest drobiazgiem.

Obliczono, że tysiące gazet codziennych, wydawanych w milionach egzemplarzy pożerają conajmniej tysiąc ton drzewa dziennie (to znaczy 61 tysięcy pudów).

A dochodzi do tego cały wydatek papieru na tygodniki i miesięczniki, na papier do pisania i na papier opakunkowy.

Jednem słowem ginie corocznie na użytek papierowy z górą czterysta milionów sążni sześciennych papieru.

Takiego spożycia nie wytrzyma najdzielniejsza nawet roślinność świata.

Należy się więc obawiać, że synowie lub wnukowie nasi po wytrzebieniu lasów będą zmuszeni kształcić się i czytać dla rozrywki — z kinematografów i gramofonów, bo zbraknie papieru, o ile nie zostanie wynaleziony inny sposób fabrykacyi.

Tymczasem zaś spożycie papieru nie może być zmniejszone ani ograniczone, owszem musi wzrastać gwałtownie. Papier jest głównym czynnikiem cywilizacyi — możnaby się łatwiej obejść bez cukru, bez stali nawet, powrócić do pierwotnych sposobów komunikacyi, niżli wyrzec się papieru, a z nim książki i gazety. W dodatku papier współczesny jest słaby i wiotki, a po kilku latach rozpada się zupełnie. Wobec tego należy wszelkie druki ważniejsze wciąż powtarzać i odnawiać.



Studyum.

Widzimy więc, że postęp techniczny musi się zwrócić do innych tańszych, niż drzewo materyałów.

Próby wskazały, że można go robić z wszelkiego włókna roślinnego: z trzciny, traw, ziół różnych, słomy zbóż i t. p. — nawet z gnoju końskiego; już w roku 1864 fabrykowano taki papier, którego najchętniej używali cukiernicy do opakowania ciastek ze względu na jego delikatność i giętkość. Próby te muszą się rozwinąć i w latach najbliższych usłyszymy nietylko o nowym gatunku papieru, ale o tem, że papier wogóle stał się tańszy i że wreszcie papier drzewny nie opłaca się w fabrykacyi, jak obecnie przestał się opłacać papier szmaciany, produkowany dzisiaj jedynie w drogich, bardzo eleganckich gatunkach do specyalnego użytku: do wykwintnych papierów listowych i do specyalnie wydanych ksiąg, obliczonych na długie trwanie i zawsze piękny wygląd.

Miejmy też nadzieję, że nowy przemysł rozwinie się jeszcze tak wcześnie, że nie wszystkie lasy legną pod siekierą.

Zdawało się kiedyś, że wielkie miasta i fabryki zjedzą las, ale okazało się, że węgiel kamienny lepiej się opłaca i to ocaliło las od spalenia w piecu. A od innych użytków ochronią go inne wynalazki.

A bez lasu trudnoby żyć człowiekowi!

Hypnotyzowanie zwierząt.

Hypnotyzmem nazywamy umiejętność wprowadzania człowieka lub zwierzęcia w stan uśpienia, noszący miano hypnozy. W cyrkach i menażeryach popisują się tą umiejętnością specyalni „mistrzowie“. Hypnotyzują oni kury, psy, żaby, węże, jaszczurki. Zwierzęta te zapadają w odrętwienie, nieruchomieją, można wtedy wykręcać ich członki w najrozmaitszy sposób, nadawać im rozmaite pozycye, które zachowują przez cały czas uśpienia.

Wiadomo jednak, że stan odrętwienia, t. zw. katalepsya, może być wywołana też samodzielnie, bez sugestyi ze strony hypnotyzera. W stan taki dane zwierzę zapada nagle, zachowując pozycyę taką, w jakiej poraził je atak. Wówczas również można członki odrętwiałego zwierzęcia wykręcać dowolnie, całej postaci nadawać taką lub inną pozycyę, którą zwierzę zachowuje aż do wyjścia z odrętwienia.

Odrętwienie u zwierząt wywołuje się za pomocą rozmaitych sposobów. Vincent znieczulał kury, uderzając je po głowie, a zahypnotyzowaną przenosił z gniazda na gniazdo, w których pozostawała z wtuloną pod skrzydła głową, kołysząc miarowo całem ciałem. Ciekawe doświadczenie robił w XVII stuleciu Kircher. Związawszy kurze łapy, kładł ją na ziemi lub na desce i tuż przed dziobem kreślił wzdłuż linię kredą. Ptak wpatrując się w linię kredową, zapadał w stan hypnotyczny i leżał przez czas pewien nieruchomo. przestrach nagły lub widok groźnego nieprzyjaciela również działa hypnotyzująco, zwłaszcza na małe ptaki i myszy. Wiadomo też, że wzrok węża ma paraliżującą siłę; wiadomo, że przez wytężone wpatrywanie się można również niektóre zwierzęta, między innemi złe psy, hypnotyzować.

Odrętwienie u zwierząt wywołuje się jeszcze za pomocą jednostajnego drażnienia pewnych nerwów, za pomocą głaskania pewnych części ciała, bądź wreszcie za pomocą silnego, długotrwałego, jednostajnego naciskania. Zwierzęta mniejsze okazują się wrażliwszemi od większych. Koni ani wołów, naprzykład nie udało się dotychczas zahypnotyzować. Natomiast zwierzęta mało zmyślne są bardzo podatne do hypnotyzowania, zwłaszcza płazy i gady. To też żaby i ropuchy, węże i jaszczurki oddawna służą do popisywania się jarmarcznym hypnotyzerom. Rak także łatwo ulega odrętwieniu. Oprócz kur, „mistrzowie“ jarmarczni używają do popisów swoich gołębi. Z psami występują rzadziej, a kot bardzo trudno poddaje się sugestyi.

W ostatnim czasie pogromca amerykański, Swen, zaczął się popisywać hypnotyzowaniem aligatorów. Tego rodzaju przedstawienia nie należą do bezpiecznych. Aligator, jako płaz, jest wprawdzie podatny do hypnotyzowania, lecz ze względu jego znacznych rozmiarów i siły, trudno się z nim uporać. Potrzebna tu siła, odwaga, zręczność, przytomność umysłu i umiejętność. A te zalety Swen posiada w wysokim stopniu.

Występuje bez żadnej broni, bez żadnych przyrządów, jedynie z kijem i szczapą drzewa. Naprzód wypuszcza aligatora z klatki i drażni go, a gdy krokodyl rozjątrzony otwiera groźną paszczę, Swen wsadza mu w nią szczapę drzewa, którą aligator miażdży szybko. Wówczas Swen przyprzypada do niego, bije go pięścią — i zręcznie odskakuje widząc, że płaz zwraca się ku niemu. Powtarza to kilkakrotnie. Aligator wciąż napróżno usiłuje pochwycić swego prześladowcę. Wreszcie Swen, upatrzywszy chwilę, chwyta jedną ręką dolną, a drugą górnąszczękę aligatora i trzyma je rozwarte. Potem zręcznym ruchem zamyka je i obejmuje jedną ręką, niby kleszczami, drugą zaś chwyta zwierzę za tylną nogę i zarzuca sobie przez plecy długie cielsko. Teraz naciska silnie podgardle aligatora, a naciskania te wprowadzają zwierzę w odrętwienie. Swen kładzie je na ziemi, oddala się — płaz wciąż pozostaje nieruchomy. Pogromca wraca, bierze go na ręce, obnosi po arenie, otwiera mu paszczę — aligator ani drgnie. Następuje obudzenie płaza. W tym celu Swen kładzie go na piasku i znów mu naciska podgardle. Aligator wychodzi z odrętwienia, ale tak jeszcze jest oszołomiony, że ucieka do swej klatki lub zanurza się w basenie.

Dziwo wielkiego miasta.

Czy można przedstawić sobie i nie uważać za jakąś fantazyą z dziedziny bajek lub żart operetkowy, że w wielkiem mieście, liczącem miliony mieszkańców, jest ktoś, kto pieniędzy nie zna? Nie tylko wartości pieniędzy, ale nawet nie widział nigdy żadnych ani papierowych banknotów, ani złotych lub srebrnych wartościowych monet, lub też niklowych i miedzianych. A jednak stworzenie podobne egzystuje i to w osobie młodej ośmnastoletniej zakonnicy, zajętej w wiedeńskim szpitalu przy chorych.

Od dzieciństwa wychowana w klasztorze, nigdy z „ziemskiemi skarbami“ ani też z „brzydką

mamoną" się nie stykała i o pieniądzach najmniejszego pojęcia nie ma. Opowiadają, że z tego powodu odegrała się razu pewnego w szpitalnej sali bardzo drastyczna scena. Leżał tam pacyent, który z nudów i rozdraźnienia nerwowego skracał sobie czas drąc nieustannie papier na drobne kawałki i rozrzucał je wokoło; siostra służebna musiała wiecznie to sprzątać. Któregoś dnia weszła właśnie do sali nasza „święta naiwność", kiedy ów chory rozłożył dziesięciokoronny banknot i położył na swoim stoliku. Zniecierpliwiona, gdyż dopiero przed chwilą posprzątała, chwyciła banknot uważając go za zwykły papier, zmięła i odrzuciła w kąt. Chory uniósł się gniewem i zażądał, by natychmiast go podniosła i oddała mu, czyż nie wie, że to pieniądze? Nie, tego nie wiedziała, i nie chciała temu wierzyć, ani też dała się skłonić do podniesienia tego, a przypuszczając, że chory majaczy w gorączce, starała się go uspokoić. Ten jednak zerwał się z łóżka, odtrącił „waryatkę", jak ją nazwał i zmusił, ażeby się przypatrzyła papierkowi — bo może przecież czytać umie? Ze zdziwieniem i zajęciem przyglądała się pieniądzom, przepraszając go i tłumacząc się, że nigdy w życiu żadnych, ale to żadnych pieniędzy nie widziała, i pojęcia nie ma, co się z niemi robi. Doprawdy prawdziwy okaz na wystawę!

Bilard pneumatyczny.

Do najulubieńszych zabaw Anglików i Amerykan należy gra w piłkę nożną; grę tę towarzyską jednak uprawiano dotychczas wyłącznie na wolnem powietrzu, a do tego trzeba było specyalnych warunków, przedewszystkiem zaś pogody; w porze zimowej i podczas słoty gra stawała się niemożliwą. Obecnie stan rzeczy się zmienił. Grę wspomnianą przeniesiono do pokoju, na stół bilardowy, a tu można ją uprawiać o każdej porze. Zasady ruchu piłek na stole bilardowym są te same, jakich się przestrzega na wolnem powietrzu; lecz piłki na stole bilardowym wprawiają się w ruch nie za pomocą nogi ani za pomocą kija, jeno za pomocą prądu powietrza. Ów prąd powietrza wytwarza każdy z graczy, poruszając nogą mieszek, ustawiony na podłodze i połączony z wężem gumowym, zaopatrzonym w kran mosiężny. Węże gumowe gracze trzymają w rękach i sami prąd powietrza puszczają na piłki.

Nowy taniec salonowy.

Świeżo wprowadzony do salonów paryskich taniec l'aerouette zyskał odrazu prawo obywatelstwa i stanowi ostatni wyraz mody. Nazwa wskazuje, a także strój głowy tancerki, skąd wyszedł pomysł tego tańca. Tancerka obowiązkowo musi mieć na głowie ubranko, odtwarzające w ogólnych zarysach tegoczesne latawce, a nazwa już wyraźnie tłómaczy, że do wymyślenia tańca dało pochop ogólne zajęcie się aerostatami tj. jazdą napowietrzną. Jakoż taniec naśladuje powolne, faliste, kołyszące się zwroty latawca w powietrzu, co również powinna odtwarzać muzyka. Coś tu jest pokrewnego z poważnym menuetem. Sama treść zasadnicza nowego tańca pozwala go urozmaicać pełnemu wdzięku figurami. L'aerouette już się dostał do Anglii i prawdopodobnie podbije wytworne salony całego świata. Pomysł przypisują Izydorze Dunkan, która usiłuje przywrócić tańcowi dawną gracyę, ów wdzięk i subtelność, jaką posiadał w starożytnej Grecyi, kiedy zaliczano go do sztuk pięknych i gdzie istotnie był wyrazem nie brutalnej namiętności lub zawrotnej, szalonej krętaniny, lecz szlachetnego i podniosłego piękna.

Złote ziarna.

Mało jest ludzi, którzyby nigdy nie kłamali przed innymi, ale pewno jeszcze mniej takich, którzyby nigdy nie kłamali przed własnem sumieniem.

Zaprawdę, jako słońce światłość swoją traci, gdy za chmurę zajdzie, tak rozum ludzki od od zbytków tępieje.

JAN KOCHANOWSKI.

Nie zamierającą jest żywotność tych, którzy myślą żyli.

G. ZAPOLSKA.

Zwycięża tylko ten, kto postanawia iść do kresu.

W. SIEROSZEWSKI.

Szczęśliwi ci, którzy, tocząc kruszynę, wierzą i upewniają drugich, że pchają góry przed sobą.

W. SIEROSZEWSKI.

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,

wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

Rozmowa była skończona. Baron wrócił do domu nieco uspokojony obojętną pewnością Ganimard'a. Opatrzył zamki, śledził służących. W ten sposób minęły znowu dwa dni.

Baron zaczynał dochodzić do przekonania, że obawy jego były urojone.

Stanowczo nie uprzedza się ludzi, których się ma zamiar ograbiać.

Zbliżał się dzień naznaczony.

We wtorek rano nie zaszło nic godnego uwagi. Lecz o godzinie 3-ej po południu do bramy zamkowej zadzwonił jakiś chłopak. Przynosił depeszę:

„Na stacyi Batignolles żadnej paki. Proszę się przygotować na jutro wieczór".

„Arseniusz".

Było od czego stracić głowę! Baron zapytywał siebie w myśli, czy nie lepiej zastosować się do żądania Arseniusza Lupin. Pospieszył do Caudebec. Ganimard łowił ryby w tym samym miejscu, co dnia poprzedniego. Siedział na składanym krzesełku.

Baron bez słowa podał mu depeszę.

— A co potem? — zapytał inspektor.

— Co potem? Ależ to jutro!...

— Co jutro?

— Jutro kradzież z włamaniem się! Jutro ogołocą mnie z moich skarbów!

Ganimard odłożył wędkę, zwrócił się do barona i, krzyżując ręce na piersiach, wykrzyknął z niecierpliwością:

— Do licha! Czyż pan sądzisz, że będę sobie zawracał głowę podobnie idyotyczną historyą?!...

— Ile pan żąda za spędzenie w zamku nocy z 27-go na 28-my września?

— Ani grosza! Zostaw mię pan w spokoju!

— Oznacz pan cenę! Jestem bogaty... bardzo bogaty!...

Brutalność propozycyi zmieszała Ganimard'a. Odparł tonem spokojniejszym:

— Jestem na urlopie i nie mam prawa...

— Nikt się nie dowie! Obiecuję, cokolwiek by się stało, zachować milczenie.

— O, nic się nie stanie!

— Zgadzasz się pan na trzy tysiące franków?

Inspektor zażył potężny niuch tabaki, pomyślał chwilę i rzucił:

— Niech i tak będzie. Wszelako uczciwość nakazuje mi oświadczyć, że pieniądze wyrzucasz pan za okno!

— Wszystko mi jedno!

— W takim razie... Zresztą, gdy idzie o tego dyabła Lupina, wszystkiego się można spodziewać. Musi mieć całą bandę na swoje usługi. Czy jesteś pan zupełnie pewny swoich służących?

— Ależ...

— W takim razie nie rachujmy na nich. Wezwę telegraficznie dwu pomocników, za których mogę ręczyć.. A teraz uchodź pan, aby nas nie widziano razem. Jutro, około dziewiątej.

* * *

Nazajutrz, w dzień oznaczony przez Arseniusza Lupin, baron Cahorn zdjął ze ściany rynsztunek, oczyścił broń i obszedł Malaquis dokoła. Nic podejrzanego nie dostrzegł.

O wpół do dziewiątej wieczorem oddalił służących. Zajmowali oni krańcowe skrzydło zamku, wychodzące na drogę, lecz trochę cofnięte w głąb. Skoro tylko baron został sam, cicho otworzył wszystkie cztery bramy. Po chwili usłyszał zbliżające się kroki.

Ukazał się Ganimard z dwoma pomocnikami. Byli to ludzie silnej budowy, o szerokich karkach i potężnych rękach. Ganimard zapytywał o niektóre szczegóły.

Gdy się zoryentował w rozkładzie mieszkania, pozamykał starannie i zabarykadował wszystkie wejścia, przez które można się było dostać do sal zagrożonych. Obejrzał ściany, podnosił dywany, makaty, wreszcie ustawił agentów w głównej galeryi.

— Baczność! Nie przyszliśmy tutaj na spanie. W razie najlżejszego hałasu otwórzcie okna od podwórza i wołajcie. Uważać też od strony wody. Dziesięciometrowe urwisko takich dyabłów nie odstraszy!

Zamknął ich w galeryi, klucze schował do kieszeni.

— A teraz — odezwał się do barona — na stanowisko!

W murze obwodowym, między dwoma głównemi wejściami, znajdowała się mała kliteczka, niegdyś schronienie odźwiernego. Tam Ganimard noc zamierzał spędzić. Jedno małe okrągłe okienko wychodziło na most, drugie na podwórko. W rogu kliteczki znajdował się jakiś otwór — niby wpust do studni.

— Mówiłeś mi, panie baronie, że otwór ten, obecnie zabity na głucho, był niegdyś jedynem wejściem do podziemi

— Tak.

— Więc, o ile nie istnieje inne wejście nieznane nikomu prócz Arseniusza Lupin, co mi się wydaje nieco problematycznem, możemy być zupełnie spokojni.

Zestawił trzy krzesła, rozłożył się na nich wygodnie, zapalił fajkę i westchnął głęboko.

— No, panie baronie, muszę mieć niekłamaną ochotę dobudować piętro w moim domku, gdzie zamierzam dokończyć życia, jeżeli nie podjąłem tak łatwej roboty. Gdy o dziejach tej nocy opowiem Lupin'owi, będzie się pokładał od śmiechu.

Baron się nie śmiał. Nadsłuchiwał. Pomimo ciszy głuchej, niepokój jego wzrastał z każdą chwilą. Od czasu do czasu pochylał się nad studnią, rzucając trwożne spojrzenia w czarną otchłań

Wybiła godzina jedenasta, potem dwunasta, wreszcie pierwsza.

Nagle baron schwycił Ganimard'a za ramię. Inspektor zerwał się na równe nogi.

— Słyszysz pan?

— Tak.

— Co to być może?

— Mam zwyczaj chrapać w nocy.

— Ależ nie! słuchaj pan!

— Ach tak! to rożek samochodu.

— A więc.

— A więc istnieje małe bardzo prawdopodobieństwo, aby Lupin użył samochodu, jak taranu do zburzenia pańskiego zamku. Tak więc, panie baronie, jabym się na pańskim miejscu położył spać... będę miał zaszczyt uczynić to samo. Dobranoc.

Był to jedyny hałas w ciągu tej nocy. Ganimard zasnął ponownie. Baron czuwał, lecz nie usłyszał nic, prócz głębokiego, miarowego chrapania detektywa.

O świcie wyszli na podwórze. W przyrodzie rozlana była pogodna cisza poranku. Cahorn promieniał radością. Ganimard był spokojny jak zawsze. Weszli na schody. Żadnego ruchu. Nic, coby mogło zbudzić podejrzenia.

— A co, panie baronie? Czy nie miałem słuszności? W gruncie rzeczy nie powinienem był przyjmować pańskiej propozycyi... wstyd mi...

Wziął klucze i wszedł do galeryi.

Na krzesełkach spali agenci, pochyleni, z rękami zwieszonemi.

— Do stu tysięcy piorunów! — wrzasnął inspektor.

W tej samej chwili baron wydał okrzyk rozpaczy:

— Moje obrazy!... kredens!...

Bełkotał niewyraźnie. Tchu mu brakowało. Ręką wskazywał obnażone ściany, puste miejsca, gdzie wczoraj jeszcze wisiały obrazy, a dziś sterczały tylko gwoździe, zwieszały się niepotrzebne sznury. Watteau znikł! Rubens porwany! Dywany zdjęte! Oszklona szafka pusta!

— O, moje kandelabry w stylu Ludwika XVI!... i lichtarz z czasów Regenta... Przenajświętsza Dziewica z wieku XII-go!...

Biegał z miejsca na miejsce, nieprzytomny, zrozpaczony. Przypominał ceny, które płacił na licytacyach dodawał straty nieprzewidziane, gromadził cyfry — a wszystko to czynił bezładnie, rzucając słowa niezrozumiałe, zdania niedokończone Tupał nogami, miotał się konwulsyjnie, szalał z wściekłości i bólu. Rzekłbyś, bankrut, któremu pozostaje tylko odebrać sobie życie

Nawet osłupienie Ganimard'a nie zdołało mu przynieść najmniejszej ulgi. Inspektor poprostu skamieniał Błędnym wzrokiem rozglądał się dokoła. Okna? — zamknięte. Zamki — nienaruszone. Najmniejszej szpary na suficie. Żadnego otworu w podłodze. Porządek wzorowy Wszystko musiało się odbyć według jakiegoś planu nieubłaganie logicznego.

— Arseniusz Lupin... Arseniusz Lupin... — mruknął zgnębiony.

Nagle, jak gdyby pchnięty gniewem, rzucił się na agentów, zaczął ich potrącać i wymyślać. Nie obudzili się wcale.

— Do dyabła! — zawołał. — Czyżby przypadkiem...

Pochylił się nad jednym... potem nad drugim... przyglądał im się bacznie: spali, lecz sen ich był nienaturalny. Zwrócił się do barona.

— Uśpiono ich.

— Lecz kto?

— Ależ on, do licha... on, lub też banda.. operająca pod kierunkiem mistrza. To zupełnie w jego stylu. Znać lwi pazur.

— W takim razie jestem zgubiony, niema tu już nic do zrobienia.

— Nic.

— Ależ to wstrętne... potworne!

— Wnieś pan skargę.

— Po co?

— Do licha!... można przecież spróbować... Policya nie jest znowu ani tak bezsilną, ani bezradną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

NR 16

(Ciąg dalszy.)

Ludzie ci, acz silnej budowy, wynędzniali, wychudli, znękani, poodziewani w suknie odarte, w odzież różną, w lichem obuwiu, odznaczali się tylko uzbrojeniem fantazyjnem, ale obfitem. Każdy z nich dźwigał co mógł, a przybierał się jak chciał.

Na straży obozu zatrzymał ich drab ogromny, smętny i gniewny. Dowiedziawszy się kto byli› i że wprost przybywali ze Francyi, zamruczał dosyć głośno.

— Dosyć już mamy tych przybłędów. Czy oni tam myślą, że nam tak bardzo cudzych rąk i głów potrzeba? Napatrzyliśmy się już tutaj tych rycerzy wolności, co naprzód nam sięgają do kieszeni, a gdy przyjdzie się bić, leżą po rowach...

Przywitani tą niegrzeczną apostrofą, szczęściem nie bardzo ją zrozumieli, oprócz gaskona, który także wlókł się za nimi, a lepiej niż oni umiał po angielsku.

Ten ją sobie przetłómaczył i zastosował... Pułaski mało co pochwycił, a przybrawszy wcześnie, choć z niemałym wysiłkiem krew zimną, której zwykle miewał mało — postanowił milczeć, nie rozprawiać i nie wywnętrzać się, tylko z tymi, do których wiózł listy, z Washingtonem i Lafayettem.

Mimo więc trudności, zwłók, łajań i sporów wywołanych niezręcznością Francuza, który wszędzie czynnym być musiał, odprawiono o nich wiadowość do głównej kwatery, a tymczasem czekali na ulewnej słocie.

Pułaski widział się zmuszony napisać list do Lafayetta i przesłać go przez kupionego posłańca. Potem obwinął się w burkę i rzuciwszy w błoto nad wałem, pozostał tak gotów na to, co los zdarzy.

Nierychło potem, francuz, przyszły adjutant przyszłego generała... gdyż Lafayette nie miał jeszcze swej nominacyi od kongresu, przybiegł zabrać podróżnych, zgłodniałych i zmęczonych.

W grzeczniejszym posłańcu znać było nadsekwańskie dziecię pieszczonej cywilizacyi, nawykłe do pewnych form i zastępujące niemi, co może brakło w sercu. Po humorze i obejściu zdradzającem zafrasowanie, ocukrowane wykwintniejszym obyczajem, łatwo się domyślił Pułaski,

że nie był tu on i jego towarzysze bardzo pożądanymi gośćmi.

Ale Lafayette nadto był wielkim panem i przyzwoitym człowiekiem, aby choć skłopotany, grubiańską mógł dać odprawę przybyłym z listami z drugiej półkuli.

Przez obóz pełen strug błota, cały zastawiony szałasami, środkiem wozów i koni, które na deszczu stać musiały, dobili się podróżni do nieco schludniej urządzonego szałasu, w którym Lafayette zamieszkiwał. Choć w miasteczku znalazłby był może schronienie wygodniejsze, ochotnik dobrowolnie podzielał losy żołnierza.

Ale chcąc walczyć za sprawę amerykańską, potrzeba było przejąć i obyczaje republikanów, surowość i prostotę Washingtona.

Lafayette na pół jeszcze pozostał Paryżaninem, zbyt był nawykł do życia salonów, do ich wykwintu i wygód, by nieco sobie więcej nad innych nie pozwolił.

Namiot jego chruściany, lepiej od innych zabezpieczony był od ulewy; i nie brakło mu sprzętów, czyniących życie to znośnem.

Wśród ciasnej tej klatki ujrzeli wychodzącego przeciw sobie pięknego młodzieńca, z jasnem obliczem, twarzą uśmiechniętą, rysy szlachetnemi i obudzającemi uszanowanie. W fizyognomii samej znać było potomka rodu, który odwykł od bojów i niewygód, a kwitł w cieniu zwierciadlanych ścian i złoconych gzemsów.

Postać jego była ujmująca poetycznym urokiem, — z ideami demokratycznemi łączył on najwikwintniejsze formy francuskiego towarzystwa.

Mimo munduru z grubego płótna, bez żadnych ozdób, bo taką odzieżą i Washington się odznaczał, łatwo w nim było poznać przybysza z innych światów, pieszczone dziecię wielkiego domu.

Odwaga rycerska malowała się na jego czole, słodycz i łagodność patrzała z oczów; obok szorstkich ludzi Ameryki nieustannie drażnionych walką i nieumiejących panować nad sobą, spokój jego natury dawał w nim czuć jakąś wyższość.

Pulaski, który o nim już wiele we Francyi od p. de Noailles słyszał — przeczuł od razu szlachetną naturę jego; z nim było mu nierównie łatwiej się zrozumieć, niż z tymi, których dotychczas spotykał.

Mimo uprzejmości z jaką go Lafayette powitał, obłoczek zafrasowania z czoła jego nie schodził. Usiłując co rychlej to pierwsze usunąć wrażenie dobył Pułaski list żony Lafayetta i podał mu go w milczeniu.

Listy pp. de Noailles, S. Priest, Franklina, towarzyszyły tej najlepszej ze wszystkich rekomendacyi.

— Pozwól mi pan, bym nie sam przemawiał za sobą — rzekł po chwili — te listy o mnie powiedzą...

Lafayette rzucił okiem na koperty i radośnie wykrzyknął rozrywając pieczęcie:

— Od żony mojej!

Pismo to tak go zajęło na chwilę, iż zdawał się całkiem o przybyłych zapominać; pożarł je nie odrywając oczów; skończywszy, dopiero spojrzał uważniej na Pułaskiego, uprzejmie podając mu rękę.

— A! drogi hrabio — (wszyscy Polacy w listach polecających z Francyi z temi tytułami byli przedstawieni), w jakże nieszczęśliwą przybywasz chwilę.

— Dla czego? — spytał Pułaski.

— Siadajcie panowie naprzód, gdzie kto może — odezwał się grzecznie robiąc miejsce Lafayette — zaraz wam to wytłómaczę. Ja sam, jadąc tu, inne miałem wcale wyobrażenie o usposobieniach Ameryki dla cudzoziemców. W obozie i kongresie panują przeciwko nam jak najdziksze uprzedzenia. Są one poniekąd usprawiedliwione, można je przezwyciężyć, ale walczyć z niemi potrzeba. Jak dla siebie je musiałem przełamywać, tak dla was chętnie podejmę tę pracę, ale nie pochlebiajmy sobie, — przyjęcie do szeregów nie jest łatwem... Nie każdemu można dostąpić honoru walczenia za sprawę wolności. W początkach chwytano kto przybył, dziś daleko są trudniejsi — powtarzam nie bez powodów, bo nieraz zostali zawiedzeni.

— Mam listy Franklina i Deana do Washingtona — odparł Pułaski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Podczas gdy Maurycy pracował z całą gorliwością, podczas gdy usiłował odeprzeć gorączkę trawiącą raczej głowę jego niż serce, posłaniec wchodził na starą ulicę św. Jakóba, napełniając dom Dixmera zdumieniem i przerażeniem.

Genowefa obejrzawszy list, oddała go Dixmerowi.

W położeniu Dixmera, Moranda i ich towarzyszy, jakkolwiek Maurycemu zupełnie nieznanem, lecz które czytelnicy nasi zapewne poznali, list ten był w rzeczy samej gromem piorunu.

— Czy to uczciwy człowiek? — spytał zakłopotany Dixmer.

— Tak jest — bez namysłu odpowiedział Morand.

— Mniejsza o to! — przerwał stronnik ostatecznych środków, widzicie sami, że trzeba było zabić go.

— Mój przyjacielu — rzekł Morand — walczymy przeciw gwałtom; hańbimy je nazwą zbrodni. Cokolwiek więc wyniknie, dobrze zrobiliśmy darowując życie bliźniemu; a wreszcie powtarzam wam, podług mnie Maurycy jest to człowiek zacny i szlachetny.

— Tak jest, lecz jeżeli obok szlachetności i zacności, jest zarazem zagorzałym republikaninem, może więc skoro uchwycił jaką okoliczność, mieć sobie będzie za występek, że nie złożył własnego honoru na ołtarzu ojczyzny, że użyję ich wyrażenia.

— Alboż — rzekł Morand — sądzicie, że się czego domyśla.

— Eh! czy nie rozumiałeś? wszak mówi o tajemnicach, które zagrzebie w swem sercu.

— Są to zapewne tajemnice dotyczące naszej kontrabandy, sam mu je powierzyłem; innych nie zna wcale.

— Ale — powiedział Morand — może ma w podejrzeniu ową wycieczkę do Auteuil? Wiesz, że towarzyszył tam twej żonie.

— Wszak ja sam życzyłem Genowefie, aby dla bezpieczeństwa wzięła z sobą Maurycego.

— Posłuchajcie mię — powiedział Morand — przekonamy się wkrótce czy podejrzenia te są słuszne. Drugiego czerwca to jest za tydzień, wypada na nasz batalion kolej odbywania warty w Temple; ty Dixmer jesteś kapitanem, a ja porucznikiem, w razie więc jeżeli batalion nasz lub kompania otrzyma rozkaz przeciwny, jak to już raz miało miejsce z batalionem Butte-des-Moulins, który Santerre zastąpił batalionem Gravilliers, rozumieć się będzie, że wszystko odkryto, i nam przyjdzie albo umknąć z Paryża, albo umrzeć walcząc. A jeżeli rzeczy pójdą zwykłym swym biegiem...

— To również zgubieni będziemy — przerwał Dixmer.

— A to dlaczego?

— Do licha! czyliż wszystko nie zależało na współdziałaniu tego urzędnika? Wszakże to on mimo swej wiedzy, otworzyć nam miał drogę do królowej?

— Prawda odrzekł znękany Morand.

— Widzicie więc — zaczął znowu Dixmer marszcząc brwi — że za jaką bądź cenę wypada nam wejść znowu w stosunki z tym młodzieńcem.

— A jeżeli odmówi? jeżeli lęka się kompromitacyi? — wtrącił Morand.

— Czekajcie — rzekł Dixmer — pójdę wybadam Genowefę, ona widziała się z nim ostatnia, może więc co wie.

— Dixmer — przerwał Morand — przykro mi, że wikłasz Genowefę we wszystkie spiski; nie iżbym obawiał się niewyrozumiałości z jej strony, o! broń Boże! ale my gramy zbyt ryzykownie, wstydzę się więc i zarazem lituję nad głową kobiety, którą kładziemy na stawkę.

— Głowa kobiety — odrzekł Dixmer — zarówno waży jak i głowa mężczyzny, tam gdzie podstęp, niewinność i piękność równy, a niekiedy

lepszy nawet wywrzeć mogą skutek aniżeli siła, potęga i odwaga; Genowefa podziela nasze przekonania i sympatye, podzieli zatem i nasz los.

— Czyń więc mój przyjacielu, co ci się podoba — mówił Morand — ja powiedziałem to, com powiedzieć był winien. Genowefa pod każdym względem godną jest posłannictwa do jakiego ją powołałeś, czyli raczej do którego sama się powołała. Święci tylko byli męczennikami.

To mówiąc podał Dixmerowi swą bielutką i zniewieściałą rączkę, którą ten uścisnął w swej silnej dłoni.

Dixmer, zaleciwszy Morandowi i swym towarzyszom większą jak zawsze baczność, wyszedł do Genowefy.

Siedziała właśnie przy stoliku ze zwieszoną głową i okiem w haft wlepionem.

Na odgłos otwierających się drzwi obróciła się i spostrzegła Dixmera.

— Ah! to ty mój przyjacielu? — rzekła.

— Ja — odpowiedział Dixmer z uśmiechem i przymileniem. — Odebrałem od naszego przyjaciela Maurycego list, którego zgoła nie rozumiem. Masz, czytaj i powiedz co o nim myślisz.

Genowefa wzięła ten list, nie mogąc mimo całej swej siły wstrzymać się od zadrżenia, i czytała.

Dixmer śledził ją wzrokiem; oczy jej przebiegały każdy wiersz.

— I cóż? — zapytał gdy skończyła.

— Ha! ja sądzę, że pan Maurycy Lindey jest bardzo zacnym człowiekiem — odpowiedziała z największą spokojnością, i że z jego strony nie mamy się czego obawiać.

— Mniemasz więc, iż nie wie kogo odwiedzałaś w Auteuil.

— Jestem tego pewna.

— Skądże tak nagłe powziął postanowienie? Nie uważałaś czy wczoraj był obojętniejszy lub też bardziej jak zawsze wzruszony.

— Nie! — rzekła Genowefa — zdaje mi się, że był taki jak zwykle.

— Genowefo, zastanów się dobrze co mi odpowiadasz, bo pojmujesz zapewne, że odpowiedź twoja wielki wpływ wywrze na wszelkie nasze zamiary.

— Czekajno — przerwała nie mogąc całą wysiloną obojętnością pokryć swego wzruszenia — czekaj...

— Dobrze! — rzekł Dixmer lekko ścisnąwszy usta — dobrze, zbierz wszystkie twoje wspomnienia Genowefo.

— Tak jest — zaczęła znowu młoda kobieta — tak przypominam sobie, że wczoraj był jakiś markotny pan Maurycy — mówiła dalej wahając się — jest niejako tyranem swych przyjaciół... dlatego też czasem po całych tygodniach dąsaliśmy się jedno na drugie.

— Byłyżby to więc proste tylko dąsy? — spytał Dixmer.

— Być może.

— Genowefo — pomyślał — że w naszem położeniu nie domysłów, ale rzetelnej pewności potrzeba.

— Kiedy tak! mój przyjacielu... to jestem tego pewna.

— Ten list więc służy tylko za pozór do niebywania w naszym domu?

— Mój przyjacielu, jakże możesz wymagać abym coś podobnego wyznała?

— Wyznaj Genowefo, wyznaj — mówił Dixmer — od żadnej innej kobiety, prócz ciebie, nie żądałbym tego.

— Jest to pretekst — rzekła Genowefa spuszczając wzrok.

— Ah! — stęknął Dixmer.

Po chwili milczenia wyjmując z zanadrza rękę, którą poskramiał bicie serca, oparł ją o krzesło małżonki i rzekł:

— Wyświadcz mi pewną przysługę, kochana przyjaciółko

— A jaką? — spytała zdziwiona Genowefa obracając się ku niemu.

— Uprzedź sam nawet cień niebezpieczeństwa, Maurycy bardziej może zagłębił tajemnice nasze, niźli się tego domyślamy. To co uważasz za pretekst, jest może rzeczywistością. Napisz więc do niego.

— Ja! — drżąc zawołała Genowefa.

— Tak jest, ty, napisz mu, żeś sama otworzyła list i że pragniesz, aby ci go wyjaśnił; przyjdzie, będziesz go badać i bardzo łatwo rozwiążesz całą zagadkę.

— O! nie, pewno nie — zawołała Genowefa — ja tego nie mogę uczynić, ja tego nie uczynię.

— Kochana Genowefo! w podobnie ważnych jak nasze interesach, miałażbyś cofać się przed nędznemi względami własnej miłości?

— Objawiłam ci mój mężu, zdanie moje o Maurycym — odpowiedziała Genowefa — jest to człowiek zacny i pełen rycerskiego honoru, ale przytem dziwak, a ja tylko męża mego niewolnicą być pragnę.

Powiedziała to z taką spokojnością i zarazem stałością, że Dixmer poznał, iż nastawać w tej przynajmniej chwili, byłoby rzeczą bezpożyteczną; nic więc już nie mówił, spojrzał na Ge-

nowefę niby nie patrząc, otarł spocone czoło i wyszedł.

Morand niecierpliwie go oczekiwał.

Dixmer opowiedział mu co do słowa wszystko co zaszło.

— Dobrze — odrzekł Morand — poprzestańmy na tem i zupełnie wszystko puśćmy w zapomnienie. Raczej odrzeknę się moich zamiarów, niźli stanę się przyczyną chociaż cienia troski twej żony, niźli zranię jej miłość własną.

Dixmer położył mu rękę na ramieniu.

— Szalonyś, mój panie — rzekł mocno mu się przypatrując — albo nie wiesz co mówisz.

— Jakto, mniemasz więc Dixmer?...

— Mniemam kawalerze, że i ty równie jak i ja nie umiesz panować nad popędem uczuć twego serca. Ani ty, ani ja, ani Genowefa, nie należymy do siebie Morandzie. Jesteśmy istotami powołanemi do obrony zasady, a zasady opierają się na rzeczach, które sobą przygniatają.

Morand zadrżał i zamilkł, milczeniem marzącem, bolesnem.

Tak przeszli kilka razy po ogrodzie, nie przemówiwszy ani słowa.

Potem Dixmer opuścił Moranda.

— Mam wydać niektóre rozkazy — rzekł zupełnie spokojnym głosem. — Żegnam cię panie Morand.

Morand podał mu rękę i patrzał za odchodzącym.

— Biedny Dixmer — pomyślał — lękam się mocno, aby w tem wszystkiem on najwięcej nie ryzykował.

Dixmer wszedł w istocie do warsztatu, wydał kilka rozporządzeń, przeczytał dzienniki, kazał rozdać chleb i kaszę biednym ze swej sekcyi i wróciwszy do siebie zrzucił robocze odzienie, a włożył suknie stosowne do wyjścia.

W godzinę potem, służący Maurycego przerwał mu odczytywanie mowy, właśnie w chwili, gdy cały nią zajęty rozmaite czynił uwagi, bo przystąpiwszy nachylił mu się do ucha i szepnął:

— Obywatelu Lindey, ktoś utrzymujący, że ma ci coś bardzo ważnego powiedzieć, czeka na cię w mieszkaniu.

Maurycy wrócił do mieszkania swego i zdziwił się niepomału, zastając u siebie Dixmera, który rozgościwszy się w najlepsze, przewracał gazety.

Wracając przez całą drogę wypytywał służącego, kto to taki? lecz ten nie znał garbarza, nie mógł mu więc żadnej udzielić w tym względzie wiadomości.

Spostrzegłszy Dixmera, Maurycy zatrzymał się na progu i mimowolnie zarumienił.

Dixmer wstał i z uśmiechem na ustach podał mu rękę.

— Jakaż ci znowu mucha siadła na nosie, żeś mi taki list napisał? — zapytał młodzieńca. — Doprawdy, mój kochany Maurycy, w najczulszą ugodziłeś mię stronę. Piszesz mi, że jestem obojętnym i fałszywym patryotą! No, no, nie wiem czy zdołasz rzucić mi w oczy podobne oszczerstwo; wyznaj raczej, że umyślnie szukasz ze mną kłótni.

— Wyznam wszystko co zechcesz kochany Dixmer, boś zawsze ze mną uczciwie postępował. Jednak mimo to powziąłem postanowienie, a postanowienie niecofnione.

— Jakto? — rzekł Dixmer — sam powiadasz, że nic nam nie masz do zarzucenia, a jednak nas opuszczasz!

— Kochany Dixmer, chciej wierzyć, że bardzo silne powody zniewoliły mię do kroku, którego się dopuściłem.

— Tak jest, z udanym uśmiechem przerwał Dixmer, lecz w każdym razie, list twój wcale inne przytacza powody, a i te są tylko prostym pretekstem.

Maurycy namyślał się przez chwilę.

— Słuchaj Dixmer — odpowiedział — żyjemy w epoce, w której, jak to dobrze pojmuję, wątpliwość zawarta w liście, może i powinna niepokoić cię, człowiek honoru zatem winien uwolnić cię od ciężaru podobnej niespokojności. Tak jest, powody, które przytoczyłem, były tylko pretekstem.

Wyznanie to zamiast rozjaśnić czoło fabrykanta, zdawało się owszem zachmurzyć je.

— Lecz na koniec jakiż jest istotny powód? — spytał Dixmer.

— Nie mogę ci go wyjawić — odparł Maurycy — pewny jednak jestem, że gdybym to mógł uczynić, uznałbyś go słusznym

Dixmer nalegał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Rzekłeś — w dobrej sprawie — podchwycił śmiejąc się — a ja cię pytam jak Piłat, co dziś się nazywa dobrą sprawą? Dobra sprawa jest ta, która ma za sobą sto tysięcy bagnetów — wszelkie inne mogą być sobie dobre jak anioły i lśnić nad ziemską jasnością prawdy, dziś się z nich śmiać będą. Dziś to, co dla Niemców jest dobre, sprawiedliwe, wielkie, szlachetne, gdy ma służyć nam, staje się złem, niesłusznem, nikczemnem, nieuczciwem. Ich narodowości, powiada Schultze-Delitsch — przysługują wszelkie prawa, bo ich narodowość jest owocodajna, produkcyjna, a nasza nic nie warta, więc my do niczego prawa nie mamy! Ale dla tego mowę palnąć trzeba! — dodał Wojtuś wstając i, położywszy po staremu obie ręce na ramionach Wolskiego, wpatrzył mu się w oczy...

— Spowiadaj mi się, od czego cię głowa boli... spluń tę biedę — lżej ci będzie...

Wolski spojrzał bystro, zabrakło mu odwagi, westchnął i zmilczał.

— Mów ty sobie, co chcesz — począł Wojtu — ja cię znam, nie usiłuj mi darmo wmówić, że jesteś w domu szczęśliwym. Dość na ciebie spojrzeć, by się domyśleć tego, z czem ty się taisz. Tobie źle jest na świecie.

Nie podnosząc oczów, jakby się wstydził, machinalnie przewracając pochwyconą książkę, Wolski szepnął cicho.

— Choćby tak było! nie ma na to rady.

— Przepraszam cię — mężczyzna powinien być głową domu; jeśli mu źle w nim, ma tysiączne środki poprawienia bytu.

— Tak, gdy jest panem w domu — rzekł Wolski — lecz ja nim nie byłem i nie jestem i nie będę. Zaczęło się od wielkiego szczęścia, którego zmącić nie śmiałem nutą dla jej ucha dysharmonią — milczałem. W nędzy i prywacyach jako silniejszy nie mogłem się znęcać nad nią, a teraz, teraz ona jest w domu rodziców, w którym rozkazuje ojciec — ja zaś, jeśli chcesz — mam rolę cierpianego sługi, nad którym wspaniałomyślne Niemcy mają trochę litości.

— Ojciec mnie nie cierpi. Jest to najgłupszy człowiek pod słońcem a tak zarozumiały, jak tylko Niemiec być potrafi.

— Tak mi mów — klepiąc go po ramieniu począł Wojtuś – teraz to się zrozumiemy, boś przecie usta rozpieczętował. A może we dwu poradzimy sobie.

— Jestem przekonany, że to niepodobieństwo.

— Zlituj się — masz przecież lub powinieneś mieć w żonie sprzymierzeńca?

— W żonie, która się lęka, ażeby jej i dzieci naszych ten gbur Niemczysko nie wygnał a nie wziął sobie synowca za spadkobiercę imienia i majątku. O tem już była mowa. Musiałem na łup mu oddać dzieci, dozwalając je wychowywać najniedorzeczniej dla tego, aby im ten nieszczęsny majątek zachować. Dałem słowo, że żadne z nich po polsku się uczyć nie będzie.

— Ależ żona! żona! — wołał Wojtuś.

— Nie zapominaj, że jest Niemką i że wyrocznią dla niej jest dr. Arnheim i jemu podobni.

— Więc cię nie kocha, jeśli widząc cię cierpiącym nie stara się tego brzemienia ani zdjąć z ciebie, ani ci ulżyć.

— Ja ją kocham — zawołał Wolski — a ona mnie. Jakże ja mogę iść w porównanie z ojcem, z niemiecką ojczyzną, z ideami i z kolosalnym majątkiem pana radzcy komercyjnego?

— Wiesz co, to nie ma innej rady, jak widzę, tylko pójść do Szprewy i w tem samem miejscu, gdzieś nieboszczyka Haenschena ratował, utopić się, ale tak skutecznie, aby nie było komu cię z wody wyciągnąć.

— Nieraz myślałem o tem — smutnie odpowiedział Wolski — tylko nie szedłbym do brudnej ich Szprewy — poszedłbym do apteki, ale ja kocham te dzieci, te moje dzieci, które wychowanie mi odbiera, które w oczach mych odrywają od mych piersi, którą mną ojcem pogardzać — dla nich cierpię.

— W kradzionych chwilach na ucho, leję w nie słowa, antidota, aby na nie trucizna nie skutkowała.

— Lecz cóż znaczy słowo moje obok tego, co słyszą z ust matki, co z jej piersi wyssały. Radzca komercyjny czuje i wie tak dobrze, iż nie będę śmiał mu się opierać że z przyjemnością znęca się nademną bezbronnym. Wybiera chwile, by przy dzieciach szydzić z Polski i szczepić w nich pogardę dla nas — dla mnie.

— A żona twoja pozwala na to? a ty milczysz i nie upominasz się o prawa swoje.

— Aby mi jutro drzwi pokazano? — zapytał Wolski.

— Nimeś mi to powiedział — rzekł garbus, połowy tych rzeczy domyślałem się, całej jednak okropności tego położenia nie wyobrażałem sobie. Jesteśże tak przywiązany do niej — do dzieci.

— Ale nie! nie! nie chcę cię na złe ciągnąć! nie skończę lepiej...

— Powiem inaczej — przywięzujeszże taką wagę do tego przebrzydłego majątku, ażebyś dla niego poświęcał przyszłość dzieci? Na twojem miejscu, otrząsłbym pył z nóg i uszedł z dziećmi i żoną z tego domu. Jesteś lekarzem, kawałek chleba znajdziesz wszędzie!

— Lekarzem? — zaśmiał się Wolski — jakim ja lekarzem jestem? Nie miałem nigdy ani myśli swobodnej, aby zużytkować naukę, ani dość ją ceniłem, by ją pielęgnować i zachować. Zapomniałem, com umiał. Nędza zjadła we mnie wszystkie siły, w niej utopiłem zdolności, jestem dziś ruiną do niczego.

Mówił to z tak przejmującą boleścią, że Wojtuś jak osłupiały go słuchał.

— Ale to nie może być — wykrzynął, nie jest tak źle, jak mówisz — jakiś ratunek być musi! Nie mówiłeś nigdy z żoną otwarcie. Jeśli istotnie jest kobietą z sercem, uczuciem i rozumem, pojmie i uczuje położenie twoje.

— Powinnaby je była sama od dawna widzieć i zrozumieć — przerwał Wolski — serce ma dobre, rozum jasny, ale dziś przedewszystkiem jest matką. — Chwila upojenia minęła, zimna rozwaga przyszła... ma dzieci.. Ja dopiero po nich, po ojcu idę i matce... Ona nie szemrząc poświęciła się dla mnie, jam powinien uczynić z siebie dla niej ofiarę.

— Circulus vitiosus! — zawołał po chwili Wojtuś — z tego wyjść nie podobna.

— Tak — cierpieć potrzeba i milczeć. Niepotrzebnie się wyspowiadałem przed tobą, ale są chwile, gdy człowiek w sobie wezbranego uczucia wstrzymać nie może.

— Fryc dziś rano... nie wiem, skąd i dla czego, powtarzał ciągle — Verfluchte Polen... tkwi mi to w sercu.

— Jeżeli dzieci poratować już nie możesz... po cóż się masz zamęczać... rzuć ten dom. Wrócisz doń, gdy będzie można.

— Zamknąłby się za mną na wieki — mruknął Wolski — na wieki! Ja chcę choć patrzeć na nich...

— Gdybyś ty widział małą moją Elizkę uśmiechającą się do mnie... — gdybyś posłyszał jej szczebiotanie...

— A! nie! nie! — dodał — lepiej stokroć cierpieć a nie rozdzielać się od nich...

— Nie wyżyłbym... myśli tej przypuścić nie mogę. A jednak, wierz mi — jestem bardzo nieszczęśliwy... może daleko więcej niż mówię...

Tu oczy mu się zaiskrzyły, rzucił trzymaną książkę o stół i padł zakrywając oczy na kanapę.

Wojtuś o nic już więcej nie pytał.

Po co było krwawą sondować ranę, nie mogąc jej uleczyć. — Dreszcz przeszedł po nim tylko. Milczeli oba długo.

— Słuchaj — odezwał się wreszcie garbaty — gdy rzeczy są bez ratunku, zacisnąć usta, cierpieć — milczeć, czekać. Wprawdzie ja na twem miejscu chwyciłbym się heroicznych środków.. lecz sam ci doradzać nie będę.

— Ale jakich? jakich?

— Zagroziłbym, że ich porzucę...

— Zagroził! — Wolski zaśmiał się a śmiech był przejmujący do szpiku kości — słysząc go Wojtusiowi źle się zrobiło, rzucił się aż na krzesle. — Zagroził! doskonały! — wołał Wolski — ale oni tego chcą, czekają tego, pragną... ta groźba byłaby dla nich radosną nowiną...

— Przecież nie dla niej — nie dla żony?

— Zapewne — dziwnie wybąknął Wolski, lecz do wyboru mając między mną a losem dzieci, nieochybnieby ostatnie przeniosła. U nas możeby się to odbyło inaczej.. uczuło odmiennie... ale dla Niemki... majątek!! dwakroć, trzykroć sto tysięcy talarów! Jestże istota na świecie, któraby położona na szali przeważyła trzykroć sto tysięcy talarów!!

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

Wpływ kobiety na społeczeństwo.

Człowiek żyje na świecie niejako dwojakiem życiem, życiem jednostki, czyli osobnika i życiem towarzyskiem, czyli społecznem.

Życie pojedyńczego człowieka, czyli jednostki może być bardzo różne, może on być biednym, może być bogatym, może być zdrowym lub chorym, może być uczonym lub nieuczonym.

Lecz człowiek nie sam jeden żyje na świecie, żyje on wespół z innymi ludźmi, z którymi żyjąc razem, czyli społem, tworzy społeczność, czyli społeczeństwo.

Społeczeństwo może być różne. O ile człowiek żyje wespół z wszystkimi ludźmi, którzy są na świecie, tworzy z nimi społeczeństwo ludzkie: o ile żyje wespół z ludźmi, którzy tę samą co on mają religię, tworzy z nimi społeczeństwo religijne. O ile żyje wespół z ludźmi, którzy tym samym, co on mówią językiem, tworzy z nimi społeczeństwo narodowe; tak np. mówimy o społeczeństwie francuskiem, niemieckiem lub polskiem.

Społeczeństwo więc składa się z pojedyńczych ludzi, czyli jednostek, i jakie jednostki, takie społeczeństwo.

Gdyby np. wszyscy ludzie, którzy tworzą jakie społeczeństwo, byli biedni, to społeczeństwo byłoby biedne. Gdyby wszyscy byli bogaci, to i społeczeństwo byłoby bogate. Gdyby wszyscy byli zdrowi lub chorzy, mądrzy lub niemądrzy, to społeczeństwo byłoby zdrowe lub chore, mądre lub niemądre. Gdyby wszyscy byli pobożni lub bezbożni, społeczeństwo byłoby pobożne lub bezbożne.

Każdy więc człowiek, ponieważ jest cząstką społeczeństwa, powinien dbać o to, by był bogaty, mądry czyli oświecony, zdrowy i pobożny. Nie wolno mu mówić, ja mogę pozostać nieoświeconym, mogę być bezbożnym, niedobrym, bo gdyby wszyscy tak mówili, całe społeczeństwo byłoby ciemne, niedobre, chore lub biedne.

A wtenczas musiałoby się społeczeństwo powstydzić wobec innych społeczeństw mądrych, bogatych, pracowitych, lepszych. A nietylko wstydzićby się musiało, ale nawet wobec innych społeczeństw pracowitych, mądrych, bogatych, istniećby nie mogło, musiałoby przestać żyć, upaść.

Życie więc każdego człowieka ma bardzo wielki wpływ na życie społeczeństwa, czyli życie społeczne. Dlatego winien każdy człowiek starać się o to, by był dobrym członkiem swego społeczeństwa.

Ponieważ zaś kobieta jest tak samo członkiem społeczeństwa jak mężczyzna, więc i kobieta winna się starać o to, by być jak najlepszym członkiem społeczeństwa, do którego należy. Winna tak samo, jak mężczyzna starać się o to, by życiem swem wpływać na dobrobyt, zdrowotność, oświatę i pobożność społeczeństwa swego.

A możemy śmiało powiedzieć, że wpływ kobiety na społeczeństwo jest pod wielu względami większy, niźli wpływ mężczyzny.

Jaki wpływ na dobrobyt, na bogactwo społeczeństwa wywiera kobieta? Prawda, że zwykle mężczyzna utrzymuje pracą swą, swym zarobkiem rodzinę, że więc od jego dzielności, pracowitości i oszczędności zależy przedewszystkiem dobrobyt rodziny i społeczeństwa; lecz może być mężczyzna jak najpracowitszy, a jeżeli żona jest rozrzutną, nie wie co to oszczędność i zaradność, wtedy w rodzinach, a skutkiem tego w społeczeństwie będzie wieczna bieda.

Tysiące kobiet skazanych jest na to, by utrzymać siebie i rodziny. Gdyby te kobiety były niepracowite, nie oszczędne, wytworzyłyby wielką biedę w społeczeństwie, które je same i ich dzieci musiałoby wyżywić, a przez to stałoby się biedniejsze.

Dalej od kobiety zależy bodaj w największej części oświata społeczeństwa; bo najpierw tworzą one połowę społeczeństwa, jeżeliby więc nie dbały o oświatę, cała połowa społeczeństwa byłaby nieoświeconą, nie umiałaby np. czytać lub pisać. Przytem kobieta jest właściwą wychowawczynią dzieci, więc wychowawczynią całego przyszłego społeczeństwa. Mąż, zajęty całodzienną pracą, rzadko kiedy jest w domu. Kobieta uczy i wychowuje dzieci, przyszłych członków społeczeństwa. Jeżeliby sama nic nie umiała, nie mogłaby nauczyć niczego dzieci, społeczeństwo stałoby się nieoświeconem.

Od zdrowia kobiety-matki zależy zdrowie dzieci, przyszłego pokolenia. Winna więc kobieta starać się być zdrową, wiedzieć co zdrowiu służy, co je rujnuje.

Kobieta wychowuje przyszłe pokolenie, daje mu podstawy życia religijnego, dobrego, pobożnego. Winna być więc przedewszystkiem sama religijną, dobrą, pobożną.

Kto więc wobec tego zaprzeczy, że przy tak wielkim wpływie, jaki życie kobiety wywiera na życie społeczeństwa, wychowanie kobiet jest pierwszem i najważniejszem zadaniem wobec społeczeństwa, pierwszą i najważniejszą, bo podstawową pracą społeczną? *W. P.*

Rady praktyczne.

Trzy szklanki kwaśnego mleka dziennie.

Taką ilość powinien pić każdy, według rady biskupa Fallows z Chicago. Wydał on broszurę, w której zapewnia, że większa część ludzi może, prowadząc życie rozumne, dożyć lat 120 i że mężczyzna każdy i każda kobieta powinni być w sile zdrowia, mając lat 80. Biskup ma lat 73 i oświadcza, że czuje się młodzieńcem. Znany jest i powszechnie poważany w Ameryce jako mąż głębokiej wiedzy. Według niego ludzie dla tego schodzą ze świata przedwcześnie, ponieważ w nowoczesnych warunkach życia żyły twardnieją w miarę wieku, a powodem tego jest gromadzenie się w nich materyi wapiennych. To samo głosi *Charcot* (w Paryżu) i *Miecznikow*, kiedy był asystentem Pasteura. Najlepszym lekarstwem na zwapnienie żył, pisze Fallows, jest kwaśne mleko lub maślanka. Doświadczenie długoletnie przekonało go, że dwie lub trzy szklanki na dzień przeciwdziałają zwapnieniu arteryi i wprost cudownie odbudowują organizm. Zwierzęta, których odżywianie się jest zawsze normalne, osiągają wiek, który się oblicza w stosunku pomnożenia wieku niemowlęcego przez 6. Ponieważ człowiek dojrzewa około 20 roku życia, więc powinien żyć lat około 120. Biskup chce, ażeby, jak Ameryka długa i szeroka, nie było człowieka, któryby nie wypijał codzień trzech szklanek kwaśnego mleka.

— Trzeba przyznać, że w tym przepisie mieści się dużo prawdy. Jest to zarazem praktyczny sposób przeciw nadużywaniu alkoholu. Kto się przyzwyczai do picia mleka i maślanki, ten zwykle nie lubi pić dużo piwa lub wódki.

Naturalny sen.

Każda osoba, pielęgnująca chorych, powinna sobie dobrze zapisać w pamięci, że naturalnego snu chorego nie trzeba przerywać, ani dlatego, żeby podać lekarstwo, ani dla zmiany okładu i t. p. Niema skuteczniejszego środka na wszelkie choroby, niema nic więcej uzdrawiającego jak naturalny sen. W bardzo ciężkich, niebezpiecznych chorobach, gdy przyjdzie naturalny sen, można mieć nadzieję, że je pacyent przezwycięży. Chorego trzeba obudzić tylko wtedy, gdy gorączka jest bardzo silna, gdy puls śpiącego bije 130 razy na minutę, a lekarz każe zastosować chłodne otulenie, lub t. p.

Nie możemy nigdy dosyć zalecić otwierania okien w pokojach dla chorych — świeże czyste powietrze to pierwszy warunek wyzdrowienia. Okna zamyka się tylko, gdy pacyent ma się wykąpać lub też dostaje świeży okład, także przy silnym mrozie od czasu do czasu trzeba zamknąć okno, gdy chory uczuwa potrzebę ciepła.

Jak tylko pacyent zacznie na dobre wstawać. a pogoda po temu, nie trzeba zwłóczyć z wyprowadzeniem go lub wywiezieniem na przechadzkę.

Ołowiowa woda.

Okłady z ołowiowej wody znajdują często zastosowanie przy zapaleniu oczu, lecz nie jest ona bynajmniej tak nieszkodliwym środkiem, jak się ogólnie mniema. Dr. Stern przytoczył na posiedzeniu berlińskiego towarzystwa dla wewnętrznej medycyny następujący wypadek. Pewien pacyent dostał bez wiadomych przyczyn bólu w prawym oku. Dla usunięcia bólu robił na przemian okłady z rumianku i ołowiowej wody. Dla szybszego działania podnosił od czasu do czasu powiekę, ażeby woda dostała się wprost do oka. Zamiast polepszenia nastąpiło jednakże pogorszenie, ból był coraz gwałtowniejszy, a na oku powstała biała plama. Badanie lekarskie wykazało osad ołowiu na spojówce i rogówce. Żadnym instrumentem nie udało się lekarzom tego osadu usunąć, a oko straciło dwie trzecie swej siły.

Dom i kuchnia.

Pieczeń barania z grzybami.

Ćwiartkę baraniny oczyścić z większego tłuszczu, zbić mocno, osolić, a gdy tak poleży parę godzin obrumienić ją na wszystkie strony i złożyć w rondel, zalawszy szklanką wina i trochą octu, dodać też trzeba korzeni i kawałek skórki cytrynowej. Oddzielnie ugotować 8 grzybów suszonych i smakiem z nich pieczeń w czasie duszenia podlewać. Przy końcu osypać pieczeń cokolwiek mąką, polać paru łyżkami śmietany i jeszcze chwilę podusić dodawszy grzyby cienko w plastry pokrajane.

Zwykłe pierożki z mięsem, robiąc do nich ciasto cienkie, a pierożki małe, podlać bulionem i w sos, drobno pokrajać w kostkę ozór peklowany i młodą słoninkę. Doskonale odmienia ta mała przyprawa smak, a zmiana taka zawsze jest pożądaną w kuchni zwłaszcza na codzień.

Legumina z powideł.

Łyżkę niesolonego masła zasmarzyć z łyżką mąki, rozebrać kwaterką gorącego mleka i wyrabiać na ogniu tak długo, aby grudek nie było. Masę dobrze wyrobioną wyłożyć na miskę i w ostudzoną włożyć czubatą łyżkę powideł śliwkowych, a ucierając ciągle, dodać po jednemu 8 żółtek, szklankę cukru (pudru), skórki cytrynowej obtartej na tarce, kieliszek araku, a przy końcu pianę z 8 białek. Gotową masę złożyć w formę masłem posmarowaną i wysypaną bułeczką, i piec pod blachą tzy kwandranse.

Kawa z lodu.

Przygotować dobrą, mocną kawę i taką samą ilość dobrej śmietanki, którą postawić z rondelkiem na ogniu, aby się mocno zagrzała, a nie zagotowała. Wtedy dodać do rondla kawę przestudzoną, ocukrzyć do smaku, a gdy przestygnie, zlać w małe szklaneczki i w lód wstawić. Wydając na stół, ubrać każdą szklaneczkę kremową śmietanką, ubitą z cukrem i wanilią.

Zupa z ryżu lub tapioku.

Wygotować smak z włoszczyzny, przecedzić i zalać tym smakiem ryż przedtem sparzony ukropem. Gotować na wolnym ogniu, aż się ryż rozklei, dodać łyżkę masła świeżego i trochę soli do smaku. Takim samym sposobem gotuje się tapioka, czyli kaszka brazylijska, którą dostać można w handlach kolonialnych. Na osobę trzeba liczyć małą łyżkę tapioku i gotować przez 5 minut, mieszając ciągle łyżką drewnianą. Do wazy włożyć łyżkę świeżego masła i 2 żółtka rozbite. Tapioka bardzo dobra również na mleku lub na rosole.

Błyszcząca zaprawa do podłogi.

Tą zaprawą naciera się i najwykwintniejszą posadzkę. Cztery łuty wosku dobrego, tyleż parafiny, pół funta benzyny, pół kwaterki terpentyny. Łyżka stołowa czubata proszku zwanego terra angelica (ziemia angielska). Wosk i parafinę pokrajać w drobne kawałki, wsypać do kompotierki, zalać to benzyną i terpentyną, zawiązać szczelnie pęcherzem, po nim podwójnym papierem. Robić tę zaprawę za dnia, gdyż benzyna jest łatwo zapalną. Postawić na szafie zdala od miejsc, gdzie się chodzi ze światłem. Przez kilka dni nie odwiązując kompotiery, zamieszać dokładnie zaprawą, a gdy się widzi, że wosk i parafina są rozpuszczone, dosypać proszku ziemi angielskiej i dokładnie z nią zaprawę wymieszać. W wigilię dnia, kiedy się ma podłogę czy posadzkę zaprawiać, trzeba ją dokładnie zmyć wodą z sodą i trochą szarego mydła.

W drogeryi, gdzie się kupuje wszystko do zaprawy, znajduje się kilka odcieni ziemi angielskiej, im posadzka jest piękniejszą, trzeba brać kolor ziemi jaśniejszy. Kawałek sukna grubego maczamy w zaprawie i raz koło razu, niezbyt grubo nacieramy posadzkę (robić to za dnia).

Nacieranie zaczynamy od okien, by widzieć, czy równo wszędzie zaprawa roztarta, o lamperyach wkoło nie zapominajmy. Gdy powyższą czynność doprowadzimy do drzwi, od okien już posadzka będzie suchą. Po godzinie trzeba wytrzeć ostrem suknem, jakby się froterowało szczotkami. Po codziennem zamieceniu posadzki, trzeba zebrać kurz szczotką, obwiniętą kawałkiem barchanu lub flaneli, potem suknem wytrzeć raz koło razu, a posadzka będzie błyszcząca jak lustro. Zachować trochę zaprawy, by, gdy się zrobi jaka plama na posadzce — zatrzeć ją. Jeżeliby po dłuższym czasie reszta zaprawy zeschła się, to dolać odrobinę benzyny.

Czyszczenie białych, jedwabnych, gumowych pasków.

Obrać trzy, średniej wielkości kartofle, pokrajać w cieniutkie plasterki i starannie opłókać w zimnej wodzie. Włożyć je na czystą glinianą lub fajansową miseczkę, nalać na nie pół litra wrzącej wody i pozostawić, aż zupełnie ostygnie. Wodę ostudzoną, przecedzić przez sito i dolać do niej taką samą ilość winnego spirytusu. Gąbką umaczaną w tym płynie zmywać pasek z prawej strony, dopóty, aż będzie czysty, a potem zapiąć go na zwiniętym ręczniku i wysuszyć.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Zupa cytrynowa z grzankami, pieczeń cielęca na sposób sarniej z kalafiorem, marmolada z jabłek z kruchemi ciastkami.

Poniedziałek. Barszcz z uszkami, zrazy zawijane z kaszą, omlet z konfiturami.

Wtorek. Zupa pomidorowa, polędwica z sałatą, galareta pomarańczowa.

Środa. Rosół z makaronem, sztuka mięsa w chrzanowym sosie z kartofelkami, kompot z jabłek.

Czwartek. Zupa rumiana z jarzynami, pieczeń barania z grzybami, legumina cytrynowa.

Piątek. Zupa kartoflana, szczupak smażony, naleśniki nadziewane.

Sobota. Rosół z drobiu z ryżem, potrawka z kur w białym sosie, krem waniliowy z biszkoptami.

:: HUMORYSTYKA ::

Właściwy powód.

— Spójrz na Emila, od czasu kiedy jeździ na samochodzie, strasznie zdumiał, nos do góry zadziera.

— To nie z dumy.

— A z czego?

— Z zapachu.

Z mitologii.

On. I jakże zdrowieczko panny Barbary? Sądzę, że po wczorajszej zabawie pozwoliła się pani chyba z gustem ukołysać Morfeuszowi.

Ona (oburzona). Panie! co to za żarty?! Ja wcale nie znam tego faceta.

W szkole.

— Pudełkiewicz, powiedz mi, dlaczego Cham śmiał się z ojca swego Noego?

— Ponieważ Noe upił się.

— Bardzo dobrze! Ale czy ty w takim wypadku śmiałbyś się z własnego ojca.

— Nie, panie profesorze.

— Dlaczegoż?

— Ponieważ ile razy mój ojciec przychodzi do domu pijany, to ja już wtedy w najlepsze śpię.

W teatrze na parterze.

— Proszę łaskawej pani, zdjąć z głowy kapelusz, bo nic nie widzimy na scenie. Włosy może pani zostawić...

Poradził.

— Cóż, jakże się ma pańska żona?

— Lepiej, panie doktorze. Już ból głowy zupełnie ustał.

— To dobrze, widać lekarstwo poskutkowało.

— Ale gdzież tam, kiedy lekarstwa wcale nie chciała zażywać.

— Więc cóż pan dał chorej.

— Dałem jej 150 rubli na nową suknię i to ją odrazu wyleczyło.

U malarza.

— Życzyłabym sobie, aby pan mój portret namalował, ale tak w całej postawie, sakumpak.

— Bardzo mi przykro, ale ja maluję tylko popiersia.

— Ale po co takie ceregiele? W takim razie odmalujesz mnie pan po piersi, a resztę każę sobie komu innemu domalować.

Przez oszczędność.

— Dwunasta godzina, a dzieci pani jeszcze śpią.

— To tak przez oszczędność.

— Jakto?

— Nie potrzebuję im dawać śniadania.

Ojciec i syn.

— Doprawdy niewiem, mój Józiu, jak ty możesz tak próżnować! Dla mnie praca stanowi największą rozkosz!

— I dla mnie także. Ale przecież sam tatko powiedział, że rozkoszy trzeba używać w małej bardzo dozie.

Sine pręgi.

Na wydziale kliniki podczas wykładu przedstawiał profesor chorego i określając jego cierpienie, zwracał uwagę obecnych słuchaczy temi słowy:

— Przypatrzcie się, panowie, jak wskutek tej słabości, stała się przejrzystą skóra chorego. Widać sine żyły i żyłki na nogach, zwłaszcza powyżej kostek.

Następnie zwraca się do pacyenta z pytaniem:

— Od dawna to tak zmizerniałeś?

— Nie rozumiem, co pan doktor żąda.

— Pytam się pana, czy dawno już wystąpiły te sine pręgi na twoich nogach?

— E, nie dawno; będzie temu ze dwa tygodnie, od czasu, jak kupiłem sobie nowe skarpetki. Bestye puściły farbę z kretesem...

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego".
Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.